

Biblioteka  
U. M. K.  
Toruń

79819

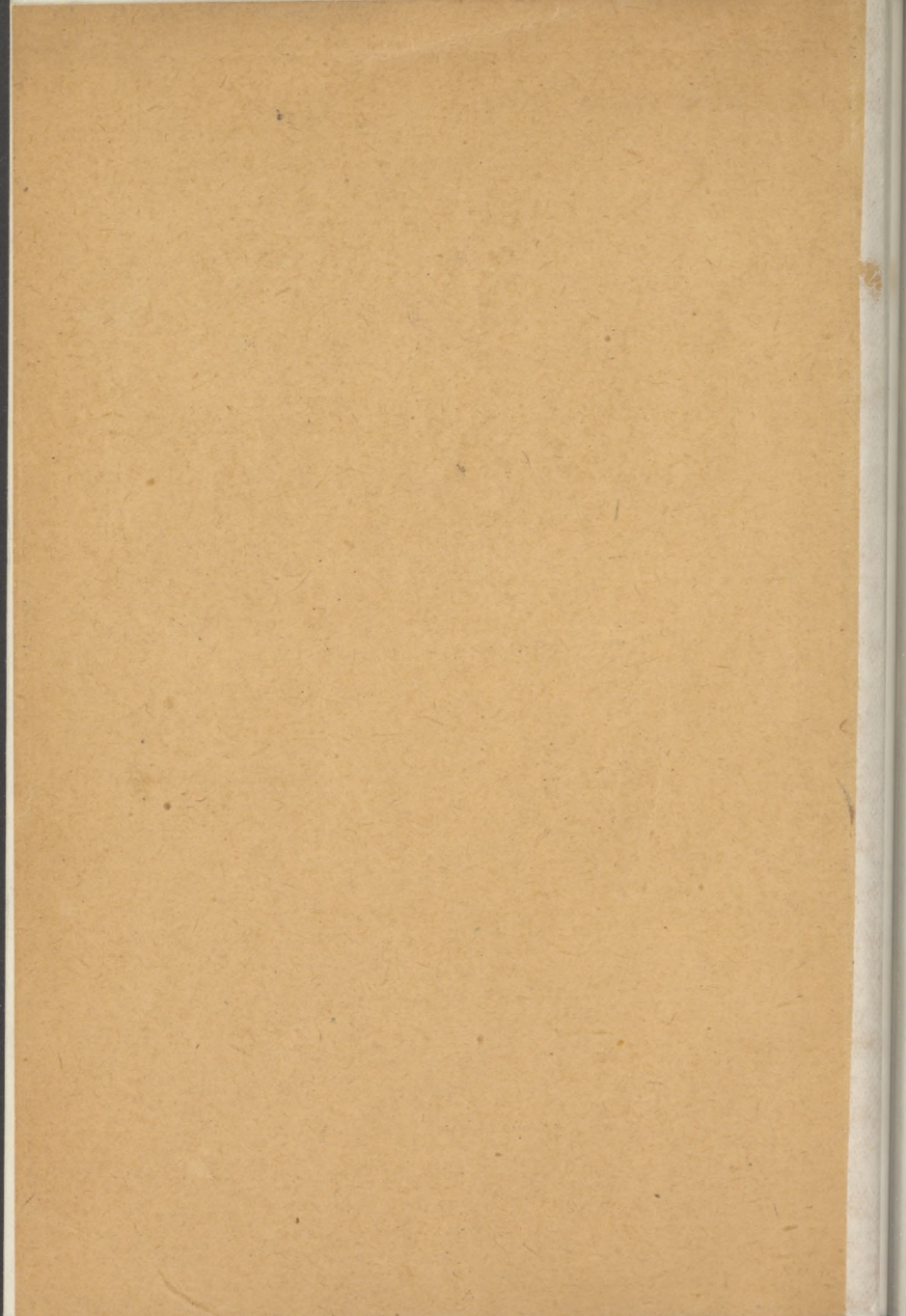
52

T A D E U S Z   B O R O W S K I

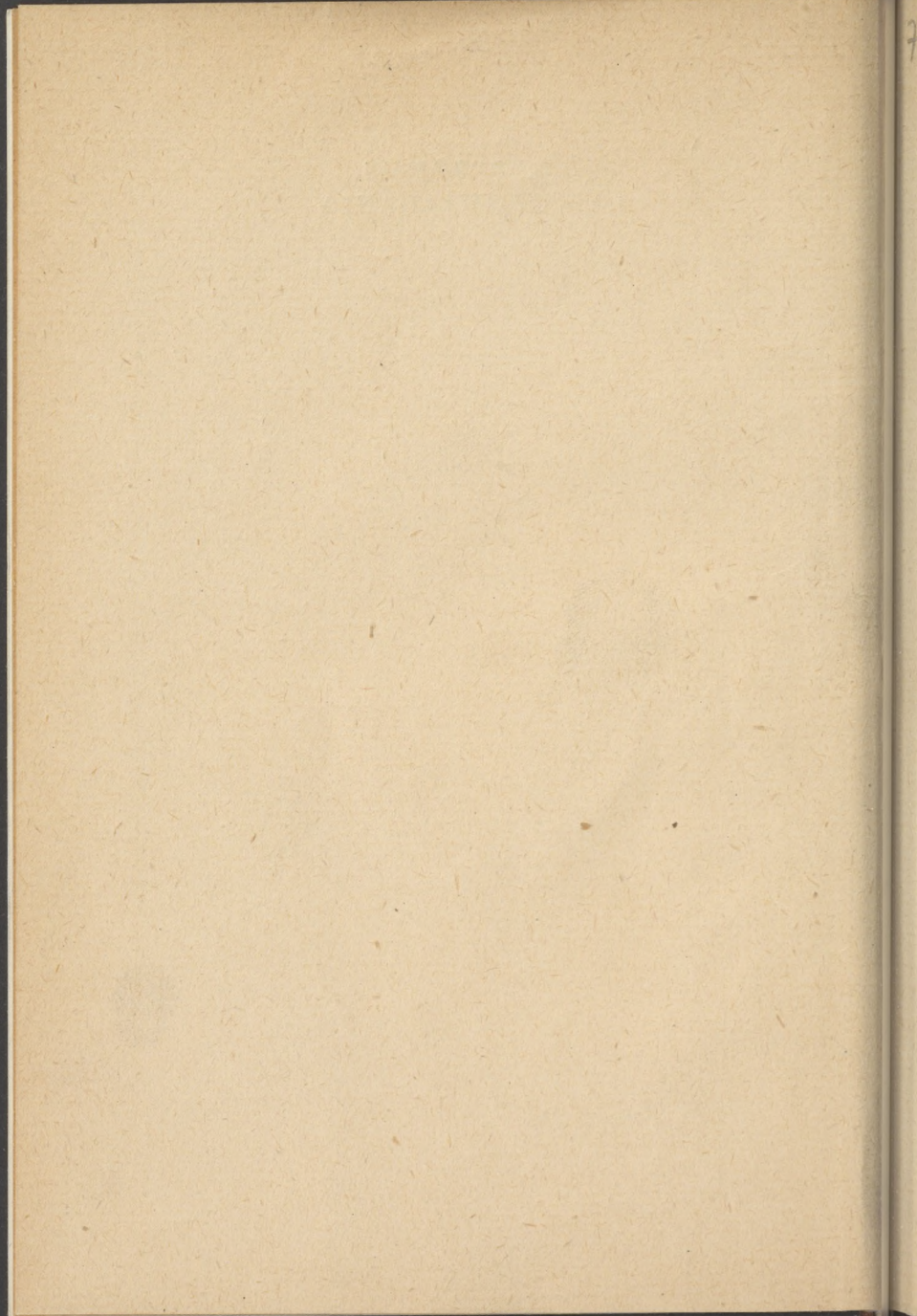
O P O W I A D A N I A  
Z   K S I A Ź E K  
I   Z   G A Z E T



P A Ń S T W O W Y  
I N S T Y T U T   W Y D A W N I C Z Y



BOROWSKI  
OPOWIADANIA



79813

TADEUSZ BOROWSKI

OPOWIADANIA  
Z KSIĄŻEK  
I Z GAZET

PAŃSTWOWY  
INSTYTUT WYDAWNICZY



49813

1

*Podpisano do druku 27.IX 1949*

*Nakład 7.000 + 350 egzempl.*

*Objętość 9,75 arkusza*

*Printed in Poland*

*Copyright, 1949, by Państwowy Instytut Wydawniczy, Warsaw*

*Papier dzielowy żeb. kl. V 75 × 100/90,*

*Drukarnia Z M P Warszawa*

*B - 75135*

## I

Prawda spokojnie oddycha, powiedział Szekspir, lecz gońcowi spod Maratonu pękły płuca, gdy na rynku ateńskim ogłaszał obywatelom wspaniałą prawdę: „Radujmy się, bracia! Nasze jest zwycięstwo!“ Zapewne, Szekspir był większym artystą, lecz Wolter miał więcej odwagi. Nie przemawiał trudnym językiem poezji, zmieniał świat dłonią publicysty; wieńczył czoło laurami, nadstawiając grzbietu pod rązy; jadał z królami, lecz wycierał cele więzienne; w niedzielę gościł u hrabiów, lecz w dzień powszedni uwalniał sztukę od służby tyranom. Tysiąc lat przed nim Szeherazada poświęciła się dla spokoju ludu. Księżniczka poślubiła okrutnego władcę, który po nocy poślubnej mordował swe żony. Szeherazada opowiedziała mu nocą baśń i gdy zaświtał ranek, przerwała ją w połowie, odkładając zakończenie do następnej nocy. Zaciekawiony władca darował jej życie na jeden dzień. Lecz tak minęły trzy lata, księżniczka powiła tyranowi dziecię i okiełzała jego instynkty. Tak sztuka usypiała tyrana, odwracając jego uwagę od ludu baśnią i zmyśleniem. I tylko dzielna wytrwałość Szeherazady, okrutność księcia, radość kraju jest prawdą „Opowieści z tysiąca i jednej nocy“; reszta jest pięknym kłamstwem poezji. Wśród zdarzeń i opowieści, które wypełniły dziesięć dni „Dekameronu“, tylko po-

nura zaraza we Florencji i sielanka wykwintnej młodości są prawdziwe, reszta jest pięknym kłamstwem poezji. Sztuka pomogła pięknoduchom uciec od świata. Radość może krzewić się obok rozpacz, bogactwo pleni się obok nędzy, życie przechodzi obok śmierci, lecz obowiązek człowieka nie daje nam spocząć spokojnie. Uczymy się odróżniać prawdę sztuki od kłamstwa, wiarę od złudzenia, żyjąc, pracując, niepokojąc się o świat. Księgi Zbrodni Hitlerowskich, raporty Partii Komunistycznej o plantacjach Południa USA, sprawozdania z Bliskiego Wschodu, Malajów, Indonezji i Chin, wieści z Paryża, Rzymu i New Yorku, meldunki z kopalń i fabryk, listy od hutników i murarzy — miłość i troska o los człowieka oto powszedni dzień pisarzy. Gabriel Peri śpiewał podczas egzekucji, Jurij Krimow padł w okrażeniu, Juliusz Fuczik zawisł na szubienicy, Boy-Żeleński zginął w masowym grobie: oto powszedni los pisarzy. Gdy, jak do worka, do krematoriów i grobów pakowano miliony ludzi wraz z kompleksami, odczuciami i marzeniami, wtedy odrzucić trzeba było sprawy stylu i mody, zostały tylko wolność i szczęście człowieka. Kto nie umiał poświęcić się dla nich, ten siebie zabijał. Odwaga Szeherezady, wdzięk Boccaccia wiecznie żyć będą. Ale dziś biada pisarzowi, który chciałby usypiać i kołysać tyrana lub zabawiać młodzieńców wśród szalejącej zarazy!

## II

„Sokratesie, ty zawsze jakoś tak kręcisz: odrywasz sobie najbardziej podchwytliwe słowo, tego się trzy-



masz i czepiasz się drobiazgów, a nie walczysz o całą kwestię, o którą chodzi“ — tak mędrcom powiedział zniecierpliwiony Hippiasz. To los publicystyki, która chwyta się szczegółu i rozdrabnia fakty; budując dom, zaczyna od rupieci; kłaniając się królowi, woła, że król jest nagi. Warto poświęcić dla niej życie, warto się napić cykuty, choć pamięć o niej jest nietrwała i zawodna. Lecz nie jest to garść kamyków, raczej mozaika, z której spoza pęknięć i szczerb wygląda oblicze świata, rysuje się jego kształt artystyczny, przeziera myśl i zamiar. Tak pisali Zola, Rolland, Gorki, Kisch i Fuczik. Tak pisze Erenburg.

Nie śmiem orzekać, czym jest ta wielka sztuka, retoryka naszych dni. Napisałem oto książkę publicystyczną, pierwszą w życiu. Jest to pamiętnik lektury. Pragnąłem z garści kamyków ułożyć mozaikę i przyjdzie mi powtórzyć o Publicystyce to, co proboszcz katedralny krakowski, ks. Wacław hr. Sierakowski, przed półtora wiekiem napisał o Sztuce Poetyckiej:

„Nie będąc ja obdarzony od Natury tak wysokim talentem, abym się mógł w rzędzie Rymotwórców mieścić, ile że według odwiecznego o nich świadectwa, zaiste *Poetae nascuntur, Oratores fiunt*, iako to w tym widzimy a szczególniej w dziecięciu jeszcze Owidyusz, którego gdy Matka biła o ustawiczne wierszami pluskanie, On chłopszczycej go o to Matce, nie inaczej się prosił, iak tylko wierszem: Oy, joy, joy. Oy, joy, joy. *Jam mea non Mater versificabor ego*. Oy, joy, joy. Oy, joy, joy. Jakoż On sam w dalszym wieku, to o sobie wyznał niechlubnie:

*Sponte sua carmen numeros veniebat ad aptos,  
Et quae tentabam scribere, versus erant.*

Po polsku:

Samo słowo w rytm wiersza chętnie przychodziło,  
I com zamyślił pisać, zaraz wierszem było,

iż miał wrodzoną łatwość do składania Wierszów.  
Ograniczam się więc według nieudolności moiej, dać  
tylko do poznania jak naykrócey: Co to iest ta Sztu-  
ka, niewdaiąc się bynaimiey w jey rodzaje, gatunki,  
prawidła i reguły“<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> „Igraszki uczonego dowcipu... dla zabawienia szkolney  
młodzi, wydane w Krakowie, 1800“.

## I

Była raz sobie mała i grzeczna dziewczynka imieniem Alicja. Gdy pewnego dnia siedziała latem wraz ze swoją starszą siostrą w ogrodzie, przystanął przy ich ławce Biały Królik w tużurku i wyciągnął z kieszeni kamizelki srebrny zegarek. Sprawdziwszy, która godzina, Biały Królik szepnął do siebie z niepokojem: „O, to niedobrze! O, to bardzo niedobrze! Na pewno się spóźnię!“ i podreptał do jamy ukrytej pod żywopłotem. Alicja zeskoczyła z ławki i śmiało wsunęła się za nim, ale potknęła się w ciemności i zaczęła spadać w bezdenną przepaść. Wreszcie wylądowała szczęśliwie na kupie zeschniętych liści i rozpoczęła przedziwną wędrówkę po cudownej krainie czarów, w której gąsienice paliły tureckie fajki, żółwie żałośnie łkały, zachwalały żółwią zupę i tańczyły z gryfami, a zła królowa skazywała na śmierć swoich poddanych, których ułaskawiał dobry król. W tej szalonej krainie Alicja zaopiekowała się niemowlęciem, które na jej ręku przemieniło się w prosiaka; rozmawiała ze śmiejącym się kotem, który rozplynał się na gałęzi; uratowała od śmierci karcianych ogrodników, którzy białe róże chcieli przemalować na czerwono; grała w kriketa z samą królową kier, używając zamiast kijów flamingów o długich szyjach; omal że nie roz-

pędziła karcianych sędziów, którzy usiłovali dowieść przestępstwa niewinnemu waletowi.

Grzeczna i rozumna Alicja umiała oprzeć się bezsensowi, głupocie i niedorzeczności rządzącym krainą czarów, ale nie znając świata rzeczywistego myślała chwilami, że jest on podobny do tej cudacznej krainy gąsienic, królików i kart.

Oto w sądzie przesłuchują przerażonego kapelusznika, który nagle wezwany na rozprawę nie zdążywszy zjeść śniadania zjawił się na sali z filiżanką herbaty i nadgryzionym chlebem w rękę.

— Cóż więc powiedział suseł? — zapytał jeden z ławników.

— Nie mogę sobie przypomnieć — odrzekł kapelusznik.

— Albo sobie przypomnisz, albo każę cię powieść — zauważył król.

Nieszczęsny kapelusznik upuścił z rąk filiżankę i chleb i osunął się na kolana.

— Wasza Królewska Mość, jestem tylko lichym człowiekiem — zaczął.

— Przede wszystkim jesteś bardzo lichym mówcą — odpowiedział król.

Tutaj jedna ze świnek morskich wyraziła swoje zadowolenie i natychmiast została przywołana do porządku przez woźnych. (Ponieważ brzmi to groźnie, pozwolę sobie wyjaśnić, jak to się robi: woźni mieli płócienny worek zaciągany sznurkiem, wsunęli oni świnkę morską głową do worka i usiedli na worku).

— Cieszę się, że to zobaczyłam — pomyślała Alicja. — Tyle razy czytałam w gazetach sprawozdania

z sądu, że: „Publiczność na sali sądowej wyraziła swoje zadowolenie, ale natychmiast została przywołana do porządku przez woźnych“ i dopiero teraz zrozumiałam, co to znaczy.

Biedna mała, grzeczna i poważna Alicja! Jej wiedza o życiu, zdobyta podczas uciążliwej podróży po krainie czarów, nie przyda się jej na nic w rzeczywistym świecie: kiedy obudzi się na kolanach siostry, gniewne okrzyki królowej zamienią się w nawoływania pastucha, brzęk filiżanki — w dźwięk owczych dzwonek, łkanie żółwia, donośny głos Białego Królika, skrzeczenie gryfa — w odgłosy pracy i porykiwanie bydła.

Lecz dziecinne piękno krainy czarów nigdy nie zblednie w pamięci Alicji, która kiedyś, gdy dorośnie, wśród własnych dzieci wspominać będzie swą wędrówkę, swe beztrioskie dzieciństwo i szczęśliwe letnie, upalne dni spędzone na cichej wsi angielskiej.

Ale nie każda podróż do krainy czarów trwa tak krótko i nie każda kończy się tak pogodnie. Czasem wypełnia ona wiele lat życia, jak podróż przez krainę czarów pewnej polskiej Alicji, która również obudziła się na cichej, szczęśliwej wsi angielskiej.

## II

Polska grzeczna i poważna Alicja zamiast do jamy króliczej trafiła do — Oświęcimia. Po przebudzeniu się nie opowiedziała swoich przygód siostrze, ale opisała je nader wymownie w pamiętniku obozowym. Była to pierwsza książka o obozie oświęcimskim, na-

pisana jeszcze przed zakończeniem wojny. Polska Alicja przebywała w Birkenau od jesieni 1943 roku do czerwca roku następnego. Angielskiej Alicji nie zmieniły senne przeżycia w krainie czarów; wojna i obóz zrobiły z polskiej Alicji osobliwy typ socjologiczny. W Oświęcimiu nazywano ze zjadliwą ironią ten typ ludzi „polską inteligencją“, co oznaczało wzgardliwą niewiedzę o świecie, górne wyobrażenie o własnej etycznej czystości, zakłamanie, bigoterię i głupotę.

Oświęcim, jaki znamy z doświadczenia, to krematoria, komory gazowe, głód, ciężka praca, błoto i wszy, chłód, upał i wiatr, złoto, brylanty i wódka, romantyczna miłość i prostytutka, selekcje do gazu i epickie pijatyki, nędza, handel i bogactwo. Można by napisać osobną rozprawę o wymianie towarowej między Oświęcimiem a Krakowem, o przemyśle pieniędzy i odzieży, z którego żyła pewna część Śląska, o zakopanych skarbach i rozsypanych w stawach popiołach ludzkich. Dopiero odsłonięcie socjologicznej mechaniki działania obozu ukazałoby część prawdy o formach faszyzmu w Polsce i w Europie. System faszystowski: przeniesienie systemu kolonialnego do Europy z dodaniem krematoriów; powolne wyniszczanie narodów podbitych wódką i pracą, znane wszystkim ludom kolorowym; system faszystowski: ostry podział klasowy ujarzmionego narodu i ciche przymierze z jego burżuazją, zawarte w Indiach, Egipcie, Chinach, na Malajach; obdzieranie człowieka z jego ostatnich bogactw: siły do pracy, złotych zębów i włosów. Ale grzeczna i poważna polska Alicja nie zajmuje się takimi sprawami! Ona także niczego nie zrozumiała z krainy czarów. Polska Alicja działanie świata tłu-

maczyła nie przyczynami poznawalnymi i rzeczywistymi, ale bezpośrednią interwencją sił nadprzyrodzonych, które zresztą działały jedynie w stosunku do Polek na zasadzie jakby dwustronnego układu. Polska Alicja spostrzegła, że Polki ze wszystkich narodowości były najpiękniejsze, najszlachetniejsze, najodważniejsze i najlepiej przeżywały obóz. Siłą, która utrzymywała Polki w należytej postawie, były nie paczki z domu, napływające w 1944 roku do Oświęcimia w oszałamiającej ilości, nie opanowanie przez Polki funkcji obozowych ani nie „zadomowienie się“ w obozie.

„Siłą, która utrzymywała Polki w należytej postawie — pisze Alicja — była modlitwa przyjaciół. Nie każda kobieta mogła otrzymywać paczki, lecz za każdą modlono się na wolności, modliły się dzieci, mąż, rodzina, krewni. Modlono się w kościołach, modlono się w bezsenne noce skrapiane łzami, modlono się w pracy i w polu, przed wiejską Bożą Męką. Zakony i parafie poświęcały jeden dzień w tygodniu (sobotę) na szczególną modlitwę za rodaków i rodaczki pozostających w więzieniach i lagrach“.

Gdy świat nadprzyrodzony rządzi rzeczywistością, rzeczy boskie są ważniejsze niż ludzkie poczynania, sens życia mierzy się wartościami nadprzyrodzonymi, niesprawdzalnymi i wiele trzeba samozaparcia, aby w nie uwierzyć. W krainie czarów Alicji kobiety-Polki lepiej znosiły głód od kobiet innych narodowości, które nie otrzymywały paczek z domów i nie umiały zdobyć jedzenia sprytem, prostytutką czy han-

dlem, ponieważ przed obozem „umiały pościć w dniu przez Kościół nakazane“, w obozie zaś „borykały się z szatanem, panem lagru, który działał nieomal widomie“, a zwyciężywszy go, „nie miały powodu żałować pobytu w lagrze, nieudania się ucieczki lub spotykającej je tam śmierci“.

Lecz, o kobiety! Anielskie, ale niepodobne do aniołów! Wy, któreście płakały w Oświęcimiu nad mordowanymi niemowlętami i dziećmi! Trzeba było płakać nad mordercą, który zatracił swoją duszę! Tak czynili aniołowie w krainie czarów Alicji.

### III

Pewien mój przyjaciel, wywieziony do Niemiec po powstaniu, przeżył malutki obóz pod Stuttgartem, nikomu nie robiąc krzywdy. Spotkawszy w obozie znajomego lekarza, dostał się do namiotu szpitalnego i przeleżał w nim całą zimę, chociaż sam był zdrowy jak rzodkiewka. Był dumny ze swej czystości etycznej. Zdziwił się, kiedy mu powiedziałem, że pośrednio zamordował kilku swoich bliźnich, którzy z braku miejsca w szpitalu chodzili na komando dopóki nie umarli z choroby i wycieńczenia. Polska Alicja, grzeszna, poważna i religijna, należała w obozie oświęcimskim do uprzywilejowanej kasty Polek, które dzięki paczkom, stosunkom i opiece funkcyjnych wiodły w szpitalu i na blokach wypoczynkowych stosunkowo bezpieczny i wygodny żywot. Kobiety te nie chodziły do pracy w polu, nie stawały (w szpitalu) na apele, nie groził im (jako chorym) transport do innego obo-



zu. Podobnie jak na obozie męskim, również na lagrze kobiecym najlepsze miejsca w szpitalu zajmowali „polscy inteligenci“, którzy byli wprawdzie zdrowi lub prawie zdrowi, ale za to dysponowali odpowiednią ilością paczek, podczas gdy ciężko chorzy ludzie stłoczeni byli w dalszych, gorszych sztubach lub też na dolnych pryzkach. Oczywiście człowiek, który jak nasza Alicja przeleżał cały obóz w szpitalu, pielęgnowany i pieszczony przez bliźnich, miał bardzo ograniczoną wiedzę o sprawach obozu i nie rozporządzając odpowiednim doświadczeniem, wyrabiał sobie fantastyczne sądy o otaczających go zjawiskach. W długiej, przymusowej kilkumiesięcznej bezczynności, w niewyklarowanej sytuacji etycznej rodziła się histeria religijna, wynaturzały się poglądy polityczne, wzrastało rozdrażnienie erotyczne.

Widząc przez okienko szpitalne błoto i brud obozu, dym z krematoriów, zagładę narodów, bohaterską walkę o przetrwanie Rosjanek, Polek, Francuzek, Żydówek z całej Europy, kobiet z partyzantki i konspiracji, polska Alicja wzdycha do Boga z krainy czarów: „Czyż trzeba Ci było, Jezu, aż tak okrutnego bicia, by kobiety zagnać z powrotem do domowego ogniska?“ Widząc przez okienko szpitalne transporty do gazu, selekcje kobiet, które nagie czekały na mrozie na samochód do krematorium, polska, grzeczna i poważna Alicja wzdycha znowu do Boga z krainy czarów: „Czyż przymusowy bezwstyd lagru to pokuta za harce nagich nimf po plażach i uzdrowiskach... strupy i wrzody — za malowane paznokcie u rąk i nóg?“

Polska Alicja — rzeczywistość obozu, wojny, faszy-

zmu przesuwa w dziedzinę moralności nadprzyrodzonej, przerzucając odpowiedzialność za jej pogwałcenie na ofiary. Podobnie system kapitalistyczny przerzuca na robotników odpowiedzialność za bezrobocie i nędzę, tłumacząc, że pochodzą one z lenistwa i nieróbstwa, kradzieży i rozpusty. Bo przecież każdemu człowiekowi dana jest szansa wybicia się i kariery kapitalistycznej i tylko ludzie bezwartościowi nie umieją z niej korzystać. Nieubłaganą rzeczywistość walki klasowej zastępuje się tu konfliktami moralnymi, zbawieniem lub potępieniem człowieka.

Polska Alicja jest nieodrodną córeczką kapitalistycznego systemu myślenia. Ale dopuszczając do świadomości myśl, że Bóg jak Hitler stosuje odpowiedzialność zbiorową, mała Alicja z krainy czarów wstąpiła do krainy faszystów.

#### IV

Małą Alicję z jamy króliczej stworzył przed prawie stu laty wykładowca matematyki na uniwersytecie oxfordzkim Charles Dodgson (Lewis Carroll), poważną i smutną jej postać uwiecznił w niedoścignionych rysunkach Sir John Tenniel. Obok dramatów Szekspira *Alice in Wonderland* stała się najszerzej czytana książką angielską na świecie.

Alicja z obozu oświęcimskiego nazywa się Zofia Kossak-Szczucka. Jej pamiętnik nosi tytuł: *Z otchłani* (W. Nagłowski. Częstochowa, 1946. Str. 259). Przed dwoma laty napisałem krótką recenzję tego pamiętnika, przytaczając z niego kilkanaście cytat.

Wywołały one oburzenie polskich duchowych krewnych Alicji, którzy przez rok obrzucali mnie błotem wymysłów. Najrozsądniej zachowała się poważna i grzeczna Alicja. Wydawszy swój pamiętnik wywędrowała na Zachód przez Szwecję, gdzie namawiała Polki z obozu do powrotu do Ojczyzny. Sama zaś wyjechała do Anglii i kupiwszy willę pod Londynem osiedliła się na cichej i szczęśliwej wsi angielskiej, skąd pisuje artykuły do „Głosu Ameryki“.

I oto, gdy zginął faszyzm niemiecki, gdy w proch rozsypuje się system kolonialny, wolne narody krwią i potem uczłowieczają ziemię, wołają o pokój i wolność dla świata, przez daleką Amerykę woła do nas Alicja, że Warszawa dlatego tak cudownie dźwiga się z gruzów, że podczas powstania zakonnice warszawskie złożyły ślubowanie Panu Bogu i swe życie ofiarowały Mu na odbudowę.

Biedna, polska, poważna, grzeczna, religijna Alicja! Błąka się niestrudzenie po sennej krainie czarów, gdzie kobiety palą w krematoriach za manicure, a ślubowanie zakonnice dźwiga zburzone przez faszystów miasta. W tej przedziwnej krainie snów krzyk mordowanych zagłuszany jest szeptem modlitwy, a po przebudzeniu — westchnienia skruczy i szmer litanii przemieniają się w szelest dolarów, franków i funtów szterlingów.



I

Zwolniwszy dziedzicznego króla Czech od groźby szantażu, Sherlock Holmes odwrócił się do niego pogardliwie plecami, nie podał mu ręki na pożegnanie, a zamiast czeku wolał wziąć w nagrodę fotografię porzuconej przez kochliwego i niewiernego króla aktorki, którą (z niezwykłym jak na kawalera szacunkiem) we wspomnieniach nazywał po prostu: kobieta. „Piasek w czułym przyrządzie, rysa na silnej soczewce mniej czynią szkody niż silne uczucie w naturze takiej jak jego — zanotował dla potomnych skrupulatny biograf Holmesa, dr Watson. — A jednak istniała dlań tylko jedna kobieta. Była nią Irena Adler, kobieta o niepewnej i wątpliwej reputacji“.

Działo się to u schyłku wieku XIX. Dziś, gdy Anglią rządzą synowie Watsonów, liberałem w państwie kapitalistycznym może być tylko bandyta lub mistyk, czasem detektyw, nigdy policjant. Policjant ślepo wykonywa rozkaz, o sprawiedliwość walczy bandyta, kontempluje ją mistyk, konserwuje ją detektyw prywatny. Policjant zawsze się myli, nie rozumie ludzi, jest kółkiem bezdusznej maszyny; bandyta narusza prawo; mistyk zamyka się przed ludźmi; jeden detektyw jest nieomylny, czynny, samodzielny i uczciwy; zna namiętności ludzkie, wykrywa mordercę. Najpiękniejsze cechy ludzkie skupiają się w detekty-

wie; epos kapitalizmu — to Odysseja detektywa poszukującego mordercy.

Popularność powieści kryminalnej w krajach kapitalistycznych jest niezwykłym zjawiskiem; jej produkcja przewyższa nawet produkcję pornografii; jest to literatura, którą burżuazja potrafiła narzucić całemu swojemu światu. Powieść kryminalna zamiast na klasy dzieli społeczeństwo na morderców, ofiary i podejrzanych; zamiast walki klasowej grozi nagłą śmiercią. Nagła śmierć czyha wszędzie: na ulicy, na plaży, w samolocie i na karuzeli, w wannie i w łodzi podwodnej, w teatrze i w łóżku, na łące i na dachu; bezbronna jak zwierzę ofiara nie ma bezpiecznej norry. W całym świecie kapitalistycznym szeleszczą posuwiste kroki mordercy i jego zbrodniczy oddech owiewa twarze czytelników; w miastach i wsiach, w kościołach i domach publicznych, w suterrenach i pałacach trzaskają pistolety, miękko uderzają noże w brzuchy ofiar, naprężają się sznury wisielców, zaciskają się palce na szyjach; samotne ciała walają się po całym kraju: w kanałach i salonach, w samochodach i na poczcie. I czemuż ma się dzieć inaczej, jeżeli mądrzy wydawcy i rozpaleni czytelnicy wciąż wołają bez tchu: — Nuże, autorzy i autorki! Nuże, detektywi na emeryturze! Nuże, jeszcze raz! Do rewolwerów, do sznurów, do noży i trucizn! Strzelajcie, trujcie, rozpruwajcie brzuchy! My chcemy trupów! My chcemy skazańców! My chcemy sprawiedliwości! Tak więc sprawiedliwość staje się na żądanie: morderca produkuje trupy, detektyw produkuje skazańców. Morderca posługuje się własnym mózgiem, detektyw — ma na usługi naukę i technikę.

Każdy włos, każdy odcisk palca, każda nitka ubrania, kropelka krwi i grudka ziemi — może prowadzić na szubienicę. Jednakże pewniejszym tropem od krwi i nitki jest trop pieniędzy. Detektyw wie, że mordercą jest ten, kto z morderstwa korzysta. Każda powieść kryminalna potwierdza zasadę Hobbesa, że człowiek człowiekowi wilkiem; w tej tafli odbija się skrzywione oblicze ustroju.

„Wzniosłym i jedynym celem ludzi, którzy jednoczą się w społeczeństwie, jest ochrona ich własności prywatnej“ — pisał przed trzystu laty John Locke, świadek przewrotu kapitalistycznego w Anglii. W ten sposób, po długich wzdraganiach się, moralność stała się służącą płynnego pieniądza; pieniądz zwyciężył ziemię. Średniowiecze przyglądało się zacieklej walce Kościoła z lichwą. Dante posyłał lichwiarzy do piekła, prawa kanoniczne — do więzień. Majątek kościelny leżał w ziemi, a ziemianin nigdy nie ma zbyt dużo płynnej gotówki, zawsze siedzi w kieszeni bankiera. W wieku Locke'a kapitał zalał Europę, protestantyzm i kalwinizm wypuściły lichwiarzy z piekła, prawa kanoniczne zawarły z nimi przymierze uznając „sprawiedliwy procent“. Burżuazyjna rewolucja angielska zmieniła prawa natury. W wiekach średnich lichwa sprzeciwiała się prawu natury, a poddaństwo chłopów było z nim zgodne; w wieku rewolucji „każdy według wskazówek natury i rozumu powinien czynić to, co mu przynosi największy pożytek; dobrobyt jednostek zwiększy bogactwo społeczeństwa“, jak pisał pastor Joseph Lee.

Właściwie, jak dobrodusznie zauważył C. E. M. Joad, Locke wyłożył całą teorię kapitalizmu. Wieki

następne niewiele do niej dodały. Zarzucono prawa natury, stworzono kult legalizmu, wzrósł strach przed rewolucją, zmęźniały pieniądz i policja. Wraz ze wzrostem i krzepnięciem kapitalizmu krzepło i teżało pojęcie własności prywatnej jako ostatecznej podstawy ustroju. Policja kapitalistyczna tak samo broniła jej poszukując włosa mordercy w skurczonych palcach ofiary, jak tłumiąc strajki i wyrzynając robotników. Policja niemiecka równie gorliwie pilnowała jej w Polsce jak angielska w Indiach i Egipcie, holenderska na Sumatrze i Jawie, francuska w Bangkoku i Algierze. Jej narzędziem jest zarówno mikroskop i archiwum, radio i laboratorium jak czołgi, gazy trujące i armaty; poszukuje ona równie nieubłagane mordercy kobiety w worku jak i rewolucjonisty walczącego o podniesienie głodowej płacy robotników.

Również literatura kryminalna na swój sposób broni społeczeństwa opartego na własności prywatnej środków produkcji. Utrwała zasadę zwierzęcej walki o byt, zacierając obraz rzeczywistości klasowej. Ideałowi rewolucyjnej ludzkości—przywódcy ludowemu—przeciwstawia swój wzór człowieka: obrońcę ładu i własności, mądrego detektywa i sprawiedliwego policjanta.

## II

Na próżno! Kopyta szarżujących koni policyjnych klaszczą zbyt głośno po asfalcie, zbyt ostro pachnie wapno z grobów masowych, płomień burzonych miast jest zbyt gorący! Ci, którzy wachają pot mordercy, nie czują zapachu palonych ciał; ci, którzy szukają

włosa ofiary, śpią na materacach z ludzkich włosów; ci, którzy szukają w zbrodni motywu zysku, jedzą sztucznymi szczękami swoich ofiar i spoglądają na świat przez zabrane im złote okulary.

Autorzy powieści kryminalnych nie rozumieją koszmarnego komizmu swojej twórczości. Co najwyżej, wyśmiewając policję za jej nieudolność, powierają walkę o sprawiedliwość przestępcom i bandytom.

Sherlock Holmes był tylko spostrzegawczy i uczciwy, ale jako indywidualista nie mieścił się w policji: praktykował prywatnie jak lekarz. Czterej Sprawiedliwi Edgara Wallace'a stali już poza prawem, choć działali dla jego dobra. Usiłowali moralność ludzką połączyć z prawem kapitalistycznym, wykonując na własną rękę słuszne wyroki na ludziach, którzy sprytnie umieli obchodzić ustawy. Zamiast uznania prawo skazało ich zaocznie na śmierć.

Simon Templar, zwany Świątym, również czekał na szubienicę, ułaskawiono go jednak, gdyż ochronił pociąg królewski przed zamachem anarchistów. Simon Templar dobrze zasłużył się sprawiedliwości: odnalazł miliard dolarów skradzionych w Banku Chicago, zamordował w Atenach Henri Chastela, handlarza niewolników, lorda Essendena, bandytę Jacka Farnberga, Władka Kuzelę i innych osławionych opryszków. Walcząc nożem o sprawiedliwość, Simon Templar dorobił się ogromnego majątku i światowej sławy. Policja oceniała jego konto na pół miliona funtów szterlingów; sławę jego kultywuje „The Saint Club“ w Londynie (10 Eccleston Place, London, S. W. 1), który przysparzając swym członkom wiele



rozrywek, wspiera również klub młodzieży w zniszczonej dzielnicy Londynu.

Simon Templar, bohater seryjnych powieści o niejakiego Leslie Charterisa, podobnie jak Sherlock Holmes, pracuje wyłącznie na zamówienie. Za opłatą zawsze gotów jest porzucić dom i wygody pożycia małżeńskiego, aby naprawić krzywdę ludzką i ukarać winnych.

Wynajęty przez milionera, któremu porywacze dzieci zamordowali syna, Święty wyruszył pewnego dnia do New Yorku, aby za milion dolarów i zwrot kosztów zlikwidować bandę. Nim minął dzień, Święty zastrzelił jednego jej członka. Nim minął drugi, Święty odkrył siedzibę sztabu i dobrowolnie dał się porwać bandzie, chcąc dotrzeć do jej tajemniczego przywódcy. Banda postanowiła go uśmiercić w „płonącej skrzyni“, jeden z jej szefów, Holender o miękkim sercu, płakał z żalu nad młodzieńcem, tymczasem zaś związany, lecz nieugięty Simon Templar, zwany Świętym, rozmyślał:

„W pokoju siedziało wokół niego ponad tuzin ludzi, którzy poświęcili swoje życie morderstwom i grabieżom i byli żołdakami najstraszliwszego legionu zbrodni, jaki zna cywilizacja współczesna. Ale nie oni budzili w nim chłodny dreszcz śmiertelnego gniewu. Gniew ten powstawał przeciw ludziom, którzy zezwalają im na grabież; przeciw ludziom, którzy rządzą koncernami; przeciw ludziom, którym ufne społeczeństwo dało wysokie urzędy i płaciło coraz lepsze pensje z kieszeni zwyczajnych, uczciwych obywateli; przeciw ludziom, których opieka pozwalała mordercom na bezkarność i dawała im zyski. Tutaj prawo

nie znaczyło nic, chyba tylko wtedy, gdy stawało się narzędziem, które usuwa przeszkody do dalszego rabunku.

Na zewnątrz, za oknem, leżało ogromne miasto, pomnik geniuszu ludzkiego z betonu i stali, w którym siedem milionów ludzi płaciło haracz garstce grabieżców. Święty nigdy nie uważał się za rycerza bez skazy; ostatecznie, on sam także był zbrodniarzem wynajętym do spełnienia bezprawnego czynu, ale jeżeli kiedyś miał co do tego skrupuły, to tej nocy przekonał się o słuszności swojego zadania. Czy uznawał to, czy nie, czy oni to wiedzieli, czy też nie — był on obrońcą siedmiu milionów ludzi“ (Leslie Charteris, *The Saint in New York*, Pan Books, London, 1948).

Nim minął czwarty dzień, Święty, nie usmażywszy się w „płonącej skrzyni“, uwolnił dziecko z rąk porwaczy, rozpruł jednemu nożem brzuch, kilku innych utrupił z rewolweru, dostarczył policji tajemniczego herszta bandy, którym był jego własny mocodawca, przeżył dramat miłosny i pełen romantycznych wspomnień powrócił do Anglii, omijając policję, wydziały paszportowe i urzędy celne.

Być może właśnie wtedy, gdy Święty Simon Templar wsiadał na okręt w Nowym Jorku, inny święty, Laurence Darrell, zwany przez przyjaciół Larrym, przybijał do portu, aby po latach nauki u jogów zostać w Nowym Jorku taksówkarzem i w ten sposób uwolnić się od społeczeństwa kapitalistycznego.

Zamieniwszy piekło morderców i detektywów na niebo Absolutu, mistyk próbował tego, czego nie mógł osiągnąć bandyta.

### III

Laurence Darrell nie miał majątku, o którym warto by było opowiadać, ale mimo to był niezależnym, porządnym chłopcem amerykańskim. Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa i Ameryka wystąpiła po stronie koalicji, Larry zachował się — jak później o nim mówiono — diablo po sportowemu i zamiast do piechoty poszedł do lotnictwa. Śmierć wiernego przyjaciela, który zginął ratując mu życie, wstrząsnęła mocno Larrym i odsłoniła przed nim bezsens życia. Zamiast dorabiać się majątku w złotych czasach *prosperity* amerykańskiej, Larry rzucił się poszukiwać prawdy po świecie. Bez żalu opuścił narzeczoną imieniem Izabella, która nie chciała żyć z nim za trzy tysiące renty rocznej, wyjechał do Paryża, studiował grekę, łacinę, literaturę i filozofię. Nie zaniedbał również życia praktycznego: pracował w kopalni francuskiej, na gospodarstwie rolnym u Niemców, miał kochankę w Paryżu, czytał Goethego, modlił się w klasztorze katolickim, pięć lat uczył się u jogów hinduskich prawdy o Absolucie.

Praca nie nauczyła go prawdy, katolicki Bóg zniechęcił małodusznością, kochanki zmęczyły, jedynie jogowie darowali mu prawdziwą wolność i wyjaśnili problem zła. Zło nie powstaje wskutek działalności ludzi, lecz jest natury metafizycznej. „Zło jest naturalnym odpowiednikiem dobra — nauczał Larry pisarza angielskiego Somerseta Maughama. — Nigdy nie byłoby oszałamiającej piękności Himalajów bez nie dającej się wyobrazić okropności konwulsyj skorpury ziemskiej“. Należy biernie pogodzić się z tym,

co istnieje, a za własny los brać pełną odpowiedzialność. „Jeśli dolegliwości, które cierpimy, są rezultatem grzechów popełnionych w naszych przeszłych żywotach, możemy znosić je z rezygnacją i nadzieją, a jeśli w tym życiu dążyć będziemy do cnoty, to nasze następne życie będzie lepsze. Dość łatwo znieść spowodowane przez siebie nieszczęścia, potrzeba tylko trochę męskiej odwagi; natomiast trudno znieść nieszczęście, o którym sądzimy, że jest niezasłużone“. Życie człowieka jest prologiem do bytu następnego; szczęście człowieka — to stopienie się z Absolutem, który jest prawdą. Wszystko inne stanowi tylko wieczne koło przemian, formy niewoli człowieka. Człowiek nie jest związany z innymi ludźmi, jego wędrówka jest zupełnie samotna.

„Sądziłbym, że mądrość polega na stworzeniu równowagi między potrzebami ciała a potrzebami ducha“ — zauważył W. Somerset Maugham, który przyglądał się z ironiczną sympatią swojemu bohaterowi.

„Hindus utrzymuje, że właśnie my, ludzie Zachodu, tego nie osiągnęliśmy — odpowiedział spokojnie bohater *Ostrza brzytwy*.

— Uważają, że z naszymi niezliczonymi wynalazkami, fabrykami, maszynami i wszystkim, co one wytwarzają, szukaliśmy szczęścia w rzeczach materialnych; a ono nie leży w nich, lecz w rzeczach duchowych. I są zdania, że droga, jaką wybraliśmy, prowadzi do zagłady“.

Jeden tylko istnieje ratunek: spokój i rezygnacja. Larry chce jej nauczyć najbardziej nerwowe społeczeństwo świata. „Dlaczego my, ludzie Zachodu, a zwłaszcza my, Amerykanie, mamy tracić otuchę

z powodu istnienia chorób, śmierci, głodu, pragnienia, starości, trosk i rozczarowań?" — spytał W. Somerseta Maughama.

Somerset Maugham znowu nie umiał mu odpowiedzieć. Wtedy Larry wyłożył mu swoją teorię walki ze światem kapitalistycznym przez dobry przykład. Wyzwoli się od posiadania majątku, który mu dawał skromną rentę, uda się do New Yorku, aby żyć tam „ze spokojem, wyrozumiałością, współczuciem, bezinteresownością i wstrzemięźliwością“, studiować w przebogatych księgarniach i antykwarniach i zarabiać na życie taksówką. W ten sposób Laurence Darrell zamierza wyzwolić się od kapitalizmu, ludzkości i świata. Cywilizacja prowadzi do zguby, postępu nie ma, na ziemi o nic nie trzeba walczyć, szczęście wieczne — to nirwana, szczęście doczesne — to asceza. Zdziwionemu W. Somersutowi Maugham Larry mówi ufnie:

„Potrzebuję na życie bardzo mało, obojętne mi, gdzie śpię, i wystarczy mi jeden posiłek dziennie“.

Tymczasem między śmiercią lotnika na froncie a taksówką w Nowym Jorku zdarzyło się na świecie wiele rzeczy: narzeczona Larrego, piękna lecz samolubna Izabella, wyszła za mąż i spłodziła kilkoro dzieci; w Ameryce ludzie porobili i potracili majątki, przewalili się nad światem kryzys, wybuchały i cichły rewolucje, miliony ludzi umierało w Indiach z głodu, formowały się bataliony faszystów. Rentierzy siedzieli w Nicei, przysłuchując się drżeniom giełdy, dziewczęta paryskie szły na utrzymanie do turystów, zarabiając na wyprawę ślubną, snobi chodzili na przyjęcia

na Złotym Wybrzeżu, również sekretarki miały swoje przyjemności:

„Jestem córką pastora, drogi panie — rzekła sekretarka księżny Novemali, gdy W. Somerset Maugham spytał ją, czy będzie na wielkim przyjęciu — i zostawiam takie blażeństwa wyższym sferom. Gdy przypilnuję, by dziennikarze z »Heralda« i »Mail« dostali dobrą kolację i prawie najlepszy szampan, wtedy nastąpi koniec mych obowiązków i wtedy schronię się do sypialni z powieścią kryminalną“.

#### IV

Czegóż oni nie robią za pieniądze! Pewna dziewczyna amerykańska założyła się o dwa dolary, że zje żywego konika polnego. Zjadła. Na pytanie, jak smakował, odpowiedziała: „Trochę chrupał w zębach“. Obrona świętej własności prywatnej przynosi więcej pożytku. Leslie Charteris dzięki zbrodniom swego bohatera kupił sobie samolot, W. Somerset Maugham urządził sobie wygodne życie. Trzeba podziwiać ich umiejętność korzystania z dobrodziejstw klasowych ustroju, ich zapał i wiarę w słuszność sprawy, ich solidarność. W obronie kapitalizmu detektyw godzi się z mistykiem, bankier z abnegatem, adwokat z mordercą, joga z faszystą, Pius XII z Edgarem Wallace, Lord Vansittart z Agatą Christie.

W dżungli kapitalizmu człowiek człowiekowi jest wilkiem. Lecz trzeba podziwiać dyscyplinę i solidarność, z jaką encyklika i protokół policyjny, powieść kryminalna i teozofia, gazeta i konstytucja bronią

praw natury i człowieka, własności prywatnej i Boga, który dał im władzę, pieniądze, demokrację i wolność.

Tak też czyni człowiek, który jak nieodrodny syn burżuazji jest mordercą i policjantem, faszystą i księdzem, mistykiem i złodziejem.

Na pamiątkę dziesiątej rocznicy swych rządów generał Franco rozkazał wybić na banknotach swój profil, wokół którego wryto przejęte od feudałów hasło burżuazji: „Przez łaskę Boga“.

## I

Widziana oczyma lisa, historia świata cofa się wstecz: czasy coraz krwawsze, życie coraz trudniej, bliźnich coraz mniej.

W średniowieczu psy goniły lisa przez uprawne pola i ogrody, łąki i zagajniki, tropiły jego ślady na śniegu i grudzie jesiennej, ludzie zakładali wnyki, strzelali z łuków i kusz. W wieku XX oszczędza się zasiewów i ogrodów, szanuje się kotne suki, za to naganiacze są szczywańsi, psy lepiej tresowane, tradycja szanowniejsza, dubeltówki celniejsze. Lecz nawet historia lisów przeżywa swoje rewolucje! 25 lutego 1949 r. był przełomowym dniem dla lisów całego świata, zwłaszcza dla lisów żyjących w lasach Wielkiej Brytanii. 25 lutego 1949 roku w brytyjskiej Izbie Gmin rozpoczęto dyskusję o dekrete zabraniającym uprawiania krwawych sportów, przede wszystkim zaś polowania na lisy. Angielskie polowanie na lisy jest zabawą arystokratów i ziemian.

Niestety! Ludzi, którzy oprócz lisów także zamieszkują lasy i łąki Anglii, opanowało wzburzenie, ledwie hamowane flegmą i obyczajem. „Czy wolno mi, jako miłośnikowi konia, świadomemu jego zasług w szerzeniu przyjaźni między wszystkimi klasami społeczeństwa — zwłaszcza wśród młodzieży — wyrazić kilka uwag, które zdają mi się niezbędne w obli-



czu debaty nad dekretem zakazującym pewnych rodzajów polowania? — zapytał Sir William Stampe z tajonym wzruszeniem. Całe życie spędził w Indiach na koniu, na starość zażywał odpoczynku w dziecięcych klubach konnych. — Polowanie z wyziami na lisy przyczynia się niewątpliwie do wzmocnienia tej przyjaźni i ja sądzę, że jeśli zabroni się tego sportu, to zniknie również przyjaźń i koleżeństwo między młodzieżą wszystkich klas społecznych“.

Ulicami miasteczek, drogami polnymi i autostradami zaczęły ciągnąć procesje konnych naganiaczy. Ziemianie z hrabstwa Kent zebrali się w Edenbridge, arystokraci i farmerzy z Gloucestershire, założywszy na się kostiumy dżokejskie, przybyli konno do Londynu i przedefilowali przez Piccadilly, wymachując wesoło melonikami. Byli to prawdziwi konserwatyści: wykazali się odważną inicjatywą prywatną połączoną z niezłomną wolą obrony prastarego obyczaju.

## II

Bo cóż to jest konserwatyzm? Konserwatyzm — to konserwatyści. Konserwatyści angielscy — pisze z melancholią historyk W. L. Burn, profesor uniwersytetu w Durham — nigdy nie mieli filozofii rządzenia. „Partia polityczna nie istnieje po to, by tworzyć filozofię rządu; jej zadaniem jest kupować i sprzedawać krążące pomysły filozoficzne w formie prostej i pociągającej“. Takim pomysłem, podchwyconym przez konserwatystów od Hobbesa i Locke'a, jest koncepcja demokracji opartej na własności prywat-

nej. Wyborca był posiadaczem, odpowiedzialność polityczna leżała mu na sercu, a złoto na dłoni, lecz reformy wyborcze ograniczyły, a potem zniosły cenzus majątkowy i wtedy — pisze W. L. Burn — partia konserwatywna musiała podjąć się gorzkiego zadania: zaagitować wyzutego z własności wyborcę, aby bronił świętej własności prywatnej. „Należało wyjaśnić — niestety, czyniono to zbyt rzadko — że broniąc własności prywatnej, bronimy wolności; że właśnie majątek prywatny, a nie prawo głosu jest najbardziej skuteczną zaporą przeciw totalnemu, świeckiemu państwu współczesnemu“. W roku 1950 Anglia staje do wyborów powszechnych, lis wybiegnie na pola, ale już dzisiaj dżokeje siodłają konie i podniecają psy.

Energiczny, pracowity, o spojrzeniu otwartym i szczerym, waleczny i szanowny pan Quintin Hogg, syn wicehrabiego Hailsham, uczynił to, czego nie mogły dokonać pokolenia: stworzył filozofię konserwatyizmu. Wydane w bibliotece Pingwina *Zasady konserwatyizmu (The Case for Conservatism, Penguin Books, Harmondsworth, 1947)* opierają się na miłości do Boga i Ojczyzny oraz na prawach naturalnych człowieka, w praktycznej realizacji bronią postępu ludzkości i ochraniają osobowość człowieka. „Wierzę w mój kraj; wierzę w Imperium Brytyjskie; wierzę w wolność; uznaję świecką władzę państwa; popieram zysk, własność i inicjatywę prywatną; pragnę zwiększyć dobrobyt mej rodziny i mojej ojczyzny. Lecz te zasady, pragnienia i nadzieje byłyby złymi, błędnymi i groźnymi herezjami, gdyby nie łą-

czyły ich uwielbienie i miłość Boga, który jest piastą i obręczą Koła Życia“.

Każdy człowiek podlega Bogu i Prawu Naturalnemu. Bóg jest wieczny i niezmienny, Prawo Naturalne zależy od klimatu, położenia geograficznego, religii i cywilizacji. Prawo Naturalne każe Anglikowi umierać za Parlament, a Ibn Saudowi rządzić absolutnie. Społeczeństwo nie dzieli się na klasy, lecz jest żywym organizmem, postęp społeczny nie dźwiga się dzięki rewolucjom, lecz jest przemianą materii w społeczeństwie. Przemianą tą kieruje geniusz jednostki. „Konserwatyści twierdzą, że źródłem przemiany człowieka (obojętna: dobrej czy złej) nie są bezosobowe prawa natury, przypadek czy zbieg okoliczności, lecz suma nieskończonej ilości drobnych impulsów, spowodowanych indywidualnym wysiłkiem niezliczonej ilości mężczyzn i kobiet, ulegających lub sprzeciwiających się wpływowi geniuszu. Ten czynnik konserwatyści nazywają inicjatywą prywatną“. Pielęgniarstwo współczesne zostało stworzone nie przez Wojskową Służbę Zdrowia, lecz przez Florence Nightingale; Elizabeth Fry, a nie minister spraw wewnętrznych, spowodowała reformę więziennictwa; na polu wychowania własny dziadek pana Hogg był czymś w rodzaju pioniera. W dziedzinie ekonomicznej jedynym źródłem postępu jest również inicjatywa prywatna, związana na zawsze z prywatną własnością środków produkcji. I oto boski dekalog zmienia się w praktyczne przykazania kościelne, na miejsce Chrystusa konserwatyizmu wchodzi święty Paweł.

„Inicjatywa prywatna jest prawem nabywania i sprzedawania towarów z zyskiem bez pozwolenia

rządu“ — pisze pan Hogg; posiadanie własności prywatnej umożliwia człowiekowi swobodny rozwój osobowości i miłości bliźniego jak siebie samego; zabezpiecza byt rodziny, stanowiącej podstawę cywilizowanego społeczeństwa; zachowanie własności prywatnej środków produkcji leży w interesie samego społeczeństwa, gdyż tylko własność prywatna tworzy bazę materialną dla opanowania natury i stanowi pobudkę działalności człowieka; jest ona zawarowana Prawem Naturalnym Człowieka. „Własność prywatna — włącznie z niektórymi wielkimi fortunami — jest naturalnym kamieniem węgielnym wolności, ponieważ daje ona gwarancję, że władza ekonomiczna nie znajdzie się w rękach państwa“.

W ten sposób dopełnił się proces historyczny: partia konserwatywna stała się bronią plutokracji przemysłowej. Ale nie wystarcza przekonać wyzutego z własności wyborcę, żeby głosując bronił świętej własności prywatnej, trzeba go jeszcze zmusić, żeby na nią pracował.

### III

Piękna jest miłość do człowieka, ale piękniejsza troska o gospodarkę angielską. Podnosząc jej poziom posiadacz wzbogaca siebie samego, lecz cóż osiąga robotnik wytěżając wszystkie swe siły? Zatrudnienie maleje, produkcja spada, wydajność pracy zmniejsza się, robotnik produkuje w ciągu godziny o 30% mniej niż przed wojną. Pan Hogg pisze, że przyczyną apatii jest lenistwo rządu, który zaniedbał opracować pla-

nowy system zachęt do pracy. Mecze piłki nożnej dają robotnikom to, czego nie potrafił im dać rząd w poważniejszej formie. Efektowne plakaty tyle akurat wywierają wpływu na zmęczonych robotników fabrycznych, co hieroglify egipskie.

„Naród żąda gwałtownie, aby produkcja wzrosła. Wzrost produkcji wymaga wzmożonego wysiłku od »robotników«; musimy się tedy zastanowić, jakie przedsięwziąć środki, aby osiągnąć ten rezultat“. W konserwatywnym „The Nineteenth Century and After“ najwybitniejsi ekonomiści burżuazji angielskiej obradują nad tymi środkami. Sir George Schuster, członek Brytyjskiego Instytutu Zatrudnienia, snując „Rozważania nad rodzajami zachęt“ kładzie cudzysłów przy słowie: robotnik, rozbija mit „robotnika“ jako pary rąk roboczych i wskazuje, że robotnik wychował się w jakiejś rodzinie, że pamięta przeszłość, zna warunki produkcji, ma swoje myśli i pragnienia, że istnieją nawet różnice pomiędzy poszczególnymi osobnikami „robotników“. Stąd też wiele czynników wpływa na obniżenie produkcji przemysłowej. „Najważniejszym z nich jest pamięć o masowym bezrobociu w okresie między wojnami. Efekt tego jest podwójny: z jednej strony bunt przeciw systemowi, który stwarza kryzysy, wyrzucając na bruk ogromne masy wykwalifikowanych robotników (o niewykwalifikowanych „Sir“ Schuster nawet nie wspomina, są narzędziem jak szczytce albo młotek); z drugiej strony — wspomnienie to wzbudza obawę, że wzmagając produkcję robotnicy pozbawiają siebie pracy na przyszłość. Widmo bezrobocia, spowodowanego nadprodukcją, straszy wciąż umysły ludzkie

i zanim widmo to nie zostanie przegnane, nie może być mowy o szczerzej współpracy między przedsiębiorcami a robotnikami, którzy nie zarzucą swoich praktyk obronnych“. Aby przekonać robotników, że trzeba pracować wydajniej mimo grozy bezrobocia i kryzysu, przedsiębiorcy muszą stworzyć własną filozofię działalności przemysłowej, zdobywać zyski bez naruszania zasad moralności, ustalić obowiązki robotnika, uświadomić robotników, że mały zysk przedsiębiorcy — to niskie płace najemców, wreszcie — przedsiębiorcy powinni mieć dobre serce. Robotnicy zaś — powinni być inteligentniejsi. Po co? Sir George Schuster pisze, że „niektóre badania wykazały, iż znaczenie przywiązywane do wysokości płacy (w porównaniu ze znaczeniem przywiązywanym do innych zachęt, jak zainteresowanie pracą i awansem) zależy od inteligencji jednostek; mianowicie, im wyższa inteligencja, tym większe znaczenie przykłada się do innych zachęt niż płaca“.

#### IV

Polowanie na lisy jeszcze nie skończone. Święta własność prywatna żąda obrony jak dziecko, miłości jak naród, ofiary jak Bóg. Człowiek przyszedł nagi na ziemię jałową, święta własność dała mu odzież i pokarm, mieszkanie i broń, poezję i taniec, budowała Imperia i Miasta. Ona rozplómienia ducha człowieka, daje mu życie doczesne i wieczne. Naturalnym stanem człowieka jest nędza, bogactwo jest jego zasługą, panowanie — jego obowiązkiem.

Ochraniając rurociąg naftowy w Iraku — żołnierz brytyjski broni Szekspira, paląc wsie malajskie — broni Izby Gmin, wypłacając magnatom Ruhry zyski wojenne — czci Hobbesa, Locke'a i Smitha, żrąc dolary Marshalla — Brytyjczyk modli się do Boga. Mądry pan niewolników, Seneka, pragnął, aby niewolnik nie bał się kija, lecz z własnej woli szanował i uwielbiał pana jak Boga. Uwielbiamy świętą własność prywatną! Tylko ona da człowiekowi wolność, zachowa prawa natury, rozwinię osobowość, uchroni bank, fabrykę, kort tenisowy i polowanie na lisy, tylko ona utrzyma Imperium, ona, własność prywatna, Bóg, który jest piastą zarazem i obręczą Koła Życia, sercem, rozumem i żołądkiem kapitalisty.

Ona osłoni odwagę i inicjatywę człowieka. „Zadam wam proste pytanie — woła z namiętnością R. A. Butler, poseł Izby Gmin. — Czy pod władzą obecnego rządu mieliście okazję do wykazania inicjatywy i własnych zdolności, do ułożenia swojego życia tak, jak pragnęliście? Powoli, ale bezustannie nasza indywidualność jest niwelowana. Z jakiej racji? Niektórych z was będzie się planowo przenosić do nowych miast, gdzie dostaniecie państwowe piwo. Naszym farmerom i ziemianom Parlament pragnie zabronić polowania na lisy“.

Ona wyniesie człowieka ponad innych ludzi. „Jeżeli koncepcja demokracji opartej na własności prywatnej ma przynieść jakikolwiek pożytek — pisze W. L. Burn — należy uczynić wszystko dla ochrony stworzonego przez nią porządku. Innymi słowy, musimy uznać, że obywatel, który posiada własność prywatną (w najszerszym tego słowa znaczeniu), powi-

nien mieć większy wpływ polityczny niż obywatel, który nie posiada nic“.

O n a obroni pokój posiadaczy. „Nic nie stoi między Europą i komunistami prócz bomby atomowej w posiadaniu Amerykanów“ — mówił Churchill. „Niekiedy w nocy, gdy ludzie pogrążeni są we śnie, na wysokości 30 tysięcy stóp krążą nad miastami Europy, Ameryki i Azji Wschodniej wielkie bombowce, ucząc się rozpoznawać ziemię na ekranie radaru. Oto jest miasto amerykańskie, prawie tak samo położone jak Stalingrad, a oto dwie tamy rzeczne, które w radarze wyglądają jak zapory Dniepropietrowska“ — pisze „The Readers Digest“.

O n a ochroni religię. „My, konserwatyści — pisze pan Quintin Hogg — nie wierzymy, że walka polityczna jest najważniejszą rzeczą w życiu. Najbardziej prości konserwatyści wolą wyznawać jedyną mądrą religię — polowanie na lisy“.

## V

25 lutego 1949 roku Brytyjska Izba Gmin 214 głosami przeciw 101 odrzuciła dekret zabraniający polowania na lisy. Przeciw dekretowi głosowali zgodnie konserwatyści i członkowie brytyjskiej Partii Pracy.



## I

Pewien emigrant angielski nazwiskiem Higgs, poszukując w ubiegłym wieku majątku w koloniach brytyjskich, zabłąkał się pewnego razu do kraju o dziwnej nazwie: Eizdgin. Kraj ten był częścią wyspy leżącej na Oceanie Spokojnym. Odgradzały go od świata niebotyczne góry, niezgłębione bagna i zdradliwe rafy koralowe. Kraj Eizdgin zamieszkiwali biali ludzie, ale kierowali się oni dziwnymi prawami i obyczajami moralnymi. Chorobę, smutek i nieszczęście uważano w Eizdgin za przestępstwo kryminalne. Wyrok był tym surowszy, im bardziej chory lub nieszczęśliwy i przygnębiony był podsądny.

Pan Higgs był świadkiem procesu człowieka, któremu umarła żona, zostawiwszy mu troje nieletnich dzieci. Obrona usiłowała przekonać sąd, że oskarżony nigdy nie kochał swojej żony, ale załamała się zupełnie podczas zeznań świadków oskarżenia. Zeznali oni, że małżeństwo kochało się ogromnie i że oskarżony, rozmawiając z nimi o umarłej, płakał żałośnie i rozpaczliwie. Ławnicy orzekli po krótkiej naradzie, że oskarżony jest winnym przestępstwa „bycia nieszczęśliwym“, ale wnosili zarazem o łagodniejszy wymiar kary, zważywszy, że przestępca może być w pewnej mierze uważany za człowieka szczęśliwego. Ubezpieczył on życie swojej żony i chociaż

uiścił zaledwie dwie raty — Towarzystwo Asekuracyjne wypłaciło mu w całości premię, stanowiącą znaczny majątek. „Stopień szczęśliwości człowieka będzie zawsze ustalany przez wzloty i upadki kursów na giełdzie i przez brutalną siłę człowieka — powiedział sędzia uzasadniając wyrok — lecz prawo nasze zabrania, aby człowiek był nieszczęśliwy ponad pewną miarę. Kodeks karny przewiduje wyrok sześciu miesięcy ciężkich robót, jednakże obniżam panu karę do trzech miesięcy robót z zamianą na grzywnę, wynoszącą ćwierć sumy wypłaconej przez Towarzystwo Asekuracyjne“. Oskarżony zapłacił grzywnę, gdyż, jak powiedział, nie miał nikogo, kto by mógł zadbać o jego dzieci. Skazując na więzienie ludzi chorych, Eizdginowie leczyli złodziei, defraudantów i morderców. Pan Higgs zamieszkał w domu pana Nosnibora, który był bogatym bankierem i miał dwie urodziwe córki. Pan Nosnibor obszedł się parę razy lekkomyślnie z sumami powierzonymi mu przez biedne wdowy — i zaniedbał leczenia. Z czasem choroba pana Nosnibora przybrała na sile: zaczął defraudować coraz więcej i częściej. Wreszcie bankier postanowił poddać się kuracji lekarskiej. Doktor — jeden z najlepszych i najslawniejszych lekarzy w stolicy — pocieszył bankiera, że nie jest tak źle, i po troskliwym zbadaniu pacjenta przypisał mu skuteczną kurację. Pan Nosnibor miał zwrócić Skarbowi Państwa dwa razy tyle pieniędzy, ile zdefraudował, przez pół roku zachowywać dietę mleczną, przez rok poddawać się raz na miesiąc ostrej chłóście, którą przeprowadzał jego lekarz domowy.

„Widziałem go po jedenastej chłóście — pisze pan Higgs. — Był posiniaczony i obolały, ale musiał się stosować do zaleceń lekarza. Prawa sanitarne w Eizdgin są bardzo surowe i jeżeli lekarz nie jest zadowolony z pacjenta, wtedy wysyła go do szpitala miejskiego (gdzie leczą ubogich), w którym panuje znacznie surowsza dyscyplina“.

Ostatecznie pan Nosnibor wyleczył się z defraudacji, wdowa zaś, której pieniądze ukradł, została aresztowana przez prokuratora ścigającego oszukanych i zawiedzionych; nie przeboleła jednakże straty swego skromnego majątku i umarła z żalu, uniknąwszy śledztwa, sądu i surowej kary.

Wprawdzie pan Higgs dziwił się poglądom etycznym i filozofii Eizdginów, ale powoli przyzwyczajał się do ich sposobu życia. Pozyskał miłość pięknej Arowheny, córki bankiera Nosnibora, i na pewno zostałby jego spadkobiercą, gdyby nie oskarżono go o propagandę krwawej rewolucji społecznej. Pan Higgs przywiózł bowiem ze sobą do państwa Eizdgin srebrny zegarek kieszonkowy.

## II

Dzisiaj, kiedy misje chrześcijańskie dotarły do najdalszych zakątków wyspy Eizdgin, nikt już nie uświadamia sobie niebezpieczeństwa posiadania srebrnego zegarka kieszonkowego, ale sto lat temu, w epoce podróży pana Higgsa, surowe prawa antymaszynowe karały śmiercią ukrywanie i produkowanie maszyn. Nie znaczy to wcale, że państwo Eizdgin

nie znało przykrości i wygod cywilizacji przemysłowej, przeciwnie! Na pięćset lat przed Europą Eizdginowie mieli maszyny parowe, koleje, dynama i armaty, jednakże krwawa wojna domowa maszynowców z antymaszynowcami, która wybuchła z żywiołową nienawiścią i spustoszyła kraj, zakończyła się wyróżnieniem maszynowców, zniszczeniem wszelkich maszyn i wydaniem surowych praw przeciw ludziom, którzy zamiast w ewolucję człowieka wierzą w ewolucję maszyny. Uczeni „antymaszynowcy“ bystro dostrzegli niebezpieczeństwo grożące od strony maszyn.

„Żaden rodzaj stworzeń w dziejach nie rozwijał się szybciej od maszyn. Czyż nie należało go uważnie obserwować i zatamować w momencie, gdy jeszcze można to było zrobić? I czyż nie należało zniszczyć bardziej rozwinięte maszyny, których teraz używamy, chociaż same w sobie nie są one szkodliwe?

Jak dotąd — mówi dalej traktat uczonego profesora eizdgińskiego — maszyny odbierają wrażenia za pośrednictwem zmysłów człowieka; jedna biegnąca maszyna ostrzega drugą krzykiem i tamta natychmiast się cofa, lecz tylko dzięki uszom maszynisty głos pierwszej dociera do drugiej. Kiedyś wydawało się nieprawdopodobne, aby maszyny nauczyły się wyrażać swoje pragnienia dźwiękiem, nawet za pośrednictwem uszu człowieka; czyż nie możemy przypuścić, że nadejdzie kiedyś dzień, gdy uszy te staną się zbyteczne i maszyna będzie słyszała dzięki subtelny konstrukcjom własnym, gdy język maszyn przekształci się z okrzyków zwierzęcych w mowę równie skomplikowaną jak nasza?“

Szczęśliwe państwo Eizdgin! Produkcja przemysłowa nie spowodowała przyrostu ludności, nie wywołała walk klasowych, nie stworzyła proletariatu, kumulacji kapitału i wojen imperialistycznych. Wyspa Eizdgin była wzorową demokracją opartą na prywatnym posiadaniu środków produkcji i bogactw naturalnych; było to państwo kapitalistyczne bez proletariuszy, którzy zamienili się w antykwariuszy. Jedynie w starych antykwarniach można było napotkać ludzi, którzy umieli konstruować maszyny i wiedzieli, jak z nich korzystać. Uratowali oni od śmierci pana Higgsa: pomogli mu sporządzić balon, którym pan Higgs postanowił wznieść się do nieba, aby uprosić boga pogody o deszcz. W istocie jednak, ukrywszy w gondoli ukochaną Arowhenę, pan Higgs uciekł balonem z dziwnego kraju Eizdgin. Pogoda była piękna, dał silny, zimny i przenikliwy wiatr, gęste obłoki otuliły balon. Przeszedł dzień i nastąpiła noc, podróżnicy przestali liczyć godziny, wreszcie zabrakło jedzenia. Arowhena spała znużona i zziębnięta na dnie kosza, pan Higgs zemdłał z wyczerpania, ale zimno go ocuciło. Wreszcie balon zaczął się zniżać, obłoki się przerzedziły, zajaśniało czyste niebo, kosz zaczepił o zielone drzewo, wiejską drogą biegli ku balonowi ludzie. Ślaniając się z wyczerpania i podtrzymując ramieniem ukochaną Arowhenę, pan Higgs zapytał tubylców po angielsku: „Gdzie jesteśmy?“ „W dziwnym kraju Akyrema!“ — odpowiedzieli chórem tubylcy. Jeden z nich, starszy i lepiej ubrany, przysunął się do podróżników i zapytał: „Czy ma pan coś do sprzedania? Może srebrny zegarek?“

Wtedy pan Higgs znowu zemdłał z przerażenia.

### III

Przepraszam Czytelnika, że nużę go tak długim i drobiazgowym opisem podróży pana Higgsa, ale muszę wyznać, że widzę coś wielkiego w jego losach. Może opromienia go wiara w rozum człowieka? Może uszlachetnia go odważna obrona ludzkich praw? Może osłania go jego zapobiegliwość i pracowitość?

Osobiście lubię i podziwiam pana Higgsa. Przyzwyczajony do ślimaczego życia w Eizdgin, pan Higgs wylądował nagle w państwie, które przekształcało się z niesłychaną szybkością. W Akyremie stulecia były dniami, a epoki — przemijały w ciągu tygodnia. Akyrema była nowym lądem, niedawno odkrytym przez Europejczyków, ale zaledwie pan Higgs zdążył sobie jako tako zapewnić egzystencję, wyrąbując kawałek lasu na zachodzie i zabijając kilka setek czerwonych tubylców, gdy na plantacje bawełny, leżące na Południu Akyremy, i do fabryk oraz kopalń, znajdujących się na Północy, sprowadzono około stu milionów Murzynów do pracy, którzy zresztą zaraz ginęli od głodu, bicia i wyczerpania. Kiedy pan Higgs dorobił się zasobnej farmy rolniczej, Północ gwałtownie się uprzemysłowiła, a ponieważ handel niewolnikami stał się na świecie nielegalny, zażądała zniesienia niewolnictwa na Południu, aby w ten sposób pozyskać taniego robotnika. Południe z pogardą odrzuciło to bezprawne i niezgodne z Biblią żądanie. Gdy piękna Arowhena powiła panu Higgs pierworodnego syna, przemysłowa Północ Akyremy wypowiedziała Południu wojnę, która trwała kilka lat i spustoszyła cały kraj. Północ obiecywała

Murzynom zniesienie niewolnictwa, parcelację majątków ziemskich, reformę rolną i pełne prawa obywatelskie. Południe wojnę przegrało, ale plantacje zostały nienaruszone. Murzyni uzyskali wolność, przestali być towarem, wystawianym na sprzedaż na rynkach miast akyremańskich, lecz za to nie mieli co jeść. Część ich poszła do fabryk Północy, reszta wróciła na plantacje, gdzie wprowadzono nowy rodzaj niewolnictwa: długoletnią pracę za długi i pożyczki. Indywidualna własność niewolników została zamieniona we własność zbiorową za pomocą umów między właścicielami plantacji i farm.

Pan Higgs lubił przysłuchiwać się popisom oratorskim mówców murzyńskich. W istocie, okres walki z niewolnictwem w Akyremie był okresem złotoustych retorów. Ale profesja Otella skończyła się wraz z emancypacją Murzynów (która miała doprowadzić do emancypacji Pana Boga) i wtedy okazało się, że również Murzyni wytworzyli własną burżuazję, która utrzymywała się z pasożytowania na gettach murzyńskich, oraz własną inteligencję rozdieraną problemami moralnymi, wytworzyli również własną klasę robotniczą, przenikniętą ideami socjalizmu i komunizmu.

W kraju Akyrema dbano bardzo o rozwój wewnętrzny jednostki; dlatego nie krępowano zupełnie jej inicjatywy ekonomicznej, która nie podpadała pod ustawy prawne; natomiast surowo karano działalność polityczną skierowaną przeciw swobodzie jednostki. Pan Higgs, który z zapalem antropologa badał poglądy polityczne Akyremanów (niestety, straciwszy majątek w kryzysie 1932 roku wyzbył się również obiektywizmu i poczucia hierarchii: malując

na chodniku obraży dla jałmużny utrzymywał, że jest artystą), był świadkiem rozprawy sądowej, w której zagadnienia ekonomiczne zastąpiono problemem matrymonialnym. Robotnik Angelo Herndorn, Murzyn ze stanu Ohio, został w roku 1932 aresztowany w stanie Georgia pod zarzutem, że podczas kampanii wyborczej prowadził pochód białych i czarnych bezrobotnych, a ponieważ naruszył prawo z 1861 roku, które zabraniało wystąpień przeciw niewolnictwu, został stawiony przed sąd i skazany na dwadzieścia lat więzienia. Podczas przewodu zeznawał ekspert od komunizmu, profesor T. J. Corley z uniwersytetu w Emory, powołany przez obronę.

Prokurator, wielbny Hudson, zapytał:

— Panie doktorze, czy zna pan program komunistyczny w wyborach 1932 roku?

— Częściowo znam — odpowiedział profesor Corley.

— Czy pan godzi się na cały ten program?

Obrońca zakwestionował pytanie jako zbyt techniczne. Sędzia Wyatt odrzucił jego protest. Profesor Corley odpowiedział:

— Godzę się na znaczną jego część.

Prokurator pytał dalej:

— Czy jest panu wiadome, że program ten żąda prawa samostanowienia dla Murzynów w Czarnym Pasie?

Czarny Pas ciągnął się przez dwanaście stanów Południa. Zamieszkiwało go pięć milionów Murzynów.

— Wiem — odpowiedział profesor Corley.



— Czy pozwoliłby pan swojej córce wyjść za mąż za Murzyna?

W ten sposób problem matrymonialny zastąpił zagadnienie polityczne i ekonomiczne i pomógł sądowi pogwałcić konstytucję Akyremy. Badając życie Akyremanów pan Higgs przekonał się, że znieważenie praw jest podstawą ich szczęścia i dobrobytu. Prawo każdemu obywatelowi przyznaje jednakowe przywileje, jednakże właściciele domów i gruntów zawierają wspólnie „umowy zapobiegawcze“, zabraniające im wynajmowania, dzierżawienia i sprzedaży Murzy-  
nom mieszkań, domów i ziemi. Jeżeli jakiś kamienicznik usiłuje, choćby ze znacznym zyskiem, odsprzedać swoją posiadłość czarnemu człowiekowi, jego sąsiedzi podają go do sądu, który opierając się na umowie unieważnia akt sprzedaży. Policja usuwa Murzyna do getta, a kamienicznik płaci sąsiadom odszkodowanie za złamany kontakt. Ponieważ jednak z biegiem czasu Sąd Najwyższy Akyremy zabronił sądom stanowym wyrokowania w tego rodzaju sprawach, jako wyraźnie sprzecznych z konstytucją, kamienicznicy i ziemianie coraz powszechniej zawierają inne umowy zapobiegawcze, zobowiązując się wynajmować mieszkania i wydzierżawiać ziemię osobom o określonym dochodzie pieniężnym, jednocześnie zaś ciągną ogromne zyski z domów w gettach chińskich, koreańskich i murzyńskich, w których panuje potworne przeludnienie.

Pan Higgs, który wierzył w liberalizm, kapitał i postęp, gnębił się każdym objawem głupoty i podłości kapitalistów akyremańskich i radował się ponad

miarę każdym błyskiem swobody i emancypacji człowieka. To go zabiło i stało się przyczyną wdowieństwa pięknej Arowheny oraz sieroctwa ich dzieci.

#### IV

Pewnego dnia, gdy pan Higgs swoim zwyczajem schylał się nad trotuarem, rysując kredą fregatę z żaglami, tłum ludzi przebiegł chodnikiem i zdeptał mu rysunek.

— Panie Higgs, chodź pan z nami! — krzyknął mu znajomy malarz z chodnika na placu Lincolna.— Sądzą naszego pastora Dickinsona!

Pan Higgs zebrał swoje przybory malarskie, startł szmatką malowidło z chodnika i podążył wraz z innymi do sali sądowej.

Wielebny pastor Lloyd C. Dickinson należał do sekty religijnej w mieście Columbus, stan Ohio, która zakupiła dla niego uroczy domek na plebanie. Policja stanowa nie wpuściła wielebnego Dickinsona do mieszkania. Plebania leżała w kręgu „białym“, wielebny pastor Dickinson zaś był Murzynem. Pastor podał policję stanową do sądu.

Sędzia przesłuchał świadków, zaprzysiężonych na Biblię, po czym zaczął cierpliwie tłumaczyć wielebnemu pastorowi, że prawo naprawdę zabrania Murzynowi mieszkać poza gettem, chyba że jest on sługą białego człowieka.

— Ach, więc to tak! — wykrzyknął pastor Dickinson, błyskając z oburzeniem białkami. — Gdybym

był sługą białego człowieka, to mógłbym mieszkać na plebanii! Ale nie mogę na niej zamieszkać, chociaż jestem sługą Pana Boga!

Sędzia, dobroduszny i mądry człowiek, uśmiechnął się z pobłażaniem.

— Czy mógłby Pan dowieść sądowi, że Pan Bóg jest białym człowiekiem? — zapytał dobrotliwie i za-twierdził sądownie postępowanie policji.

— Ależ Pan Bóg jest białym człowiekiem! — krzyknął oburzony pan Higgs, rzucając w pasji przyrzędy malarskie.

— Niech o tym rozstrzyga Sąd Najwyższy — powiedział obojętnie sędzia. — Ja nie jestem zupełnie przekonany.

Całe miasteczko Columbus wybrało się do Waszyngtonu na rozprawę w Sądzie Najwyższym, zasiadło na balkonie i z napięciem czekało na decyzję ostatniej instancji prawnej. Wreszcie sędziowie zjawili się na sali i zajęli miejsca.

— Sąd Najwyższy Akyremy — powiedział sędzia nałożywszy na nos okulary — postanowił unieważnić decyzję sądu stanowego jako sprzeczną ze stanem faktycznym.

— Niech żyje prawo! — krzyknęli mieszkańcy miasteczka Columbus. — Niech żyje Akyrema!

— W ten sposób — mówił sędzia, podnosząc uroczyście głos — Sąd Najwyższy Akyremy raz na zawsze podniósł Pana Boga do godności białego człowieka.

Wszyscy powstali, klaszcząc i śpiewając hymn narodowy. Pan Higgs uczył lży dumy w oczach, wychylił się przez balustradę, chciał krzyknąć „Brawo!“

ale stracił równowagę, przekoziolkował parę razy w powietrzu, runął między krzesła i zabił się na miejscu.

## V

Muszę prosić Czytelnika o przebaczenie, ale zdaje mi się, że pamięć mnie zawiodła. No, oczywiście! Przecież u Samuela Butlera, który zostawił dokument podróży pana Higgsa po kraju Eizdgin (*Erewhon, Erewhon Revisited*, Londyn, 1872), dzielny emigrant osiada na oceanie, napotyka statek włoski, ląduje w Anglii i ozdabia londyńskie chodniki. Butler, który uważał siebie za filozofa, marzył o feudalnym społeczeństwie kapitalistycznym bez konfliktów klasowych i groźby rewolucji. Kiedy jednak zamienił klasę robotniczą w antykwariuszy, odpowiedzialność za zło społeczne zrzucił na skrzywdzonych, kiedy operacji giełdowych kazał dokonywać przy dźwiękach muzyki, a defraudantów i spekulantów leczyć w szpitalu—wtedy srebrny zegarek pana Higgsa stał się niebezpiecznym zarzewiem buntu.

Właściwie Stany Zjednoczone, dokąd przez pomyłkę zawędrował pan Higgs, są bardzo podobne do kraju Nigdzie: utopia kapitalistyczna przekształciła się w państwo krwawych absurdów, nienawiści rasowej i natchnionych misjonarzy, prawa i lynchu, wyzysku i równości.

Opowiadając o panu Higgsie, myślałem, że podróżę kształcą. Ale widzę teraz, że częściej rozgoryczają. Sindbad Żeglarz nie zmałdzał, chociaż przeżył tyle

przygód i gdyby nie wróżki, sto razy umarłby ze strachu; Don Kichot z pogardą odrzucił księgi rycerskie, które pchnęły go do walki z rozumem świata; Lemuel Guliwer, zbrzydziwszy sobie ludzi, najchętniej przebywał w stajni wśród ogierów, których języka nauczył się u Houyhnhnmów, koni o ludzkim rozumie i boskich cnotach; pan Higgs umarł z entuzjazmu, gdy rozum zwyciężał pieniądze.

Pan Higgs zbyt lekkomyślnie osierocił piękną Arowhenę. Gdyby można było dobrowolnym postem, łagodną perswazją i roczną kuracją chłosty wyleczyć podłych, zaprzędanych sędziów, zbrodniczych bankierów i landlordów, którzy uparcie i zajadle, masakrą i ustawą, opłatą wyborczą i gettem prowadzą zimną i bezlitosną walkę z własnym narodem; gdyby można było złotoustą mową zażegnać kryzysy, przepić armaty i kasy pancerne na karoserie wózków dziecinnych i sprężyny do materaca; gdyby można było odwołując się do rozumu bogatych uwolnić ludzkość od wyzysku i grabieży — wtedy warto byłoby umrzeć dla wiary w bezbolesny postęp, mdłą filozofię historii, dobroć imperialistów i cierpliwość ludów kolonialnych.

Ponieważ jednak bankierzy i handlarze nie przyznają się do oszustw, nie rezygnują z prawa kradzieży i nie poddają się kuracji; ponieważ praca człowieka służy umacnianiu jego niewoli; ponieważ głupota i fałsz panują nad pięknym rozsądkiem człowieka; ponieważ każdy jego wolny czyn okupiony jest krwią — trzeba umieć żyć i umierać dla wolności i sprawiedliwości i poprzez pokolenia podawać z rąk do rąk sztandar rewolucji.

Czasami tym sztandarem jest srebrny zegarek kieszonkowy, czasami kolor skóry Pana Boga.

Nie jest to niedorzeczna i zabawna walka o podniesienie Pana Boga do godności białego człowieka.

Jest to piękna, trudna i twarda walka o podniesienie człowieka do godności człowieka.

## BOGATY, SMUTNY MŁODZIENIEC

### I

Kiedy Chrystus dyskutował z faryzeuszami nad Jordanem, podszedł doń bogaty młodzieniec i zapytał: „Nauczycielu dobry! Co dobrego mam czynić, abym miał żywot wieczny?“, po czym zapewnił Chrystusa, że spełnia wszystkie przykazania: nie zabija, nie cudzołoży, nie kradnie, nie mówi fałszywego świadectwa, czci ojca swego i matkę swoją, kocha bliźniego jak siebie samego. Mimo to jednak bogaty młodzieniec był niespokojny: „Czegóż mi jeszcze nie dostawa?“

Usłyszał wtedy od Nauczyciela niespodziewaną i bolesną odpowiedź: „Jeśli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj majątności twoje i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie, a przyszedłszy naśladuj mnie“. Ale bogaty młodzieniec nie chciał zamienić ziemskiego skarbu na niebieski i (jak opowiada z nieco kostycznym humorem św. Mateusz) „gdy usłyszał te słowa, odszedł smutny; albowiem wiele miał majątności“.

Właściwie, czego żądał Chrystus od bogatego, lecz smutnego młodzieńca? Ojcowie Kościoła różnie o tym mówią. Ojciec Klemens Aleksandryjski, rzecznik lichwiarzy, żeglarzy i kupców, w traktacie o zbawieniu bogatych *Quis dives salvetur?* szukał w przypowieści ukrytego znaczenia, symbolu i alegorii. Rada

ewangeliczna „sprzedaj, co masz“ nie powinna być rozumiana dosłownie. „Nie oznacza ona (co niektórzy zbyt pochopnie jej przypisują) nakazu porzucenia majątku i oddania bogactwa, lecz wygnanie z duszy przywiązania do niego“. Święty Cyprian, biskup Kartaginy, rozdał w trzecim wieku majątek ubogim i w traktacie *De lapsis* grzmiał przeciw samolubstwu bogaczy; Bazyl Wielki wyśmiewał smutek bogatego młodzieńca i groził mu: „Biada tym, którzy przyłączają dom do domu, a rolę do roli przyczyniają“ (Iz. 5, 8); św. Jan Chryzostom, biskup Antiochii i arcybiskup Konstantynopola, wołał wciąż, że bogacze mają dosyć dóbr, aby usunąć nędzę ludu.

Mówiąc językiem współczesnym bogaty, lecz smutny młodzieniec w obrębie swojej klasy społecznej był cnotliwy, a nawet — jak bez chwalebnej skromności oświadczył publicznie — wyróżniał się surowym i przykładowym życiem, jednakże działalność całej jego klasy: posiadaczy majątków i lichwiarzy, spekulantów i łowców niewolników, spadała brzemieniem na jego kark. Nie wystarczy być dobrym panem, aby być dobrym człowiekiem; moralność bogaczy nie jest moralnością ubogich; etyka panów jest inna niż etyka niewolników.

Czy młodzieniec, który odszedł smutny od Mistrza, miał niewolników? Oczywiście! Był przecież bogaty. Toteż niedługo przyszło mu się smucić: był świadkiem Ukrzyżowania, uwierzył, wstąpił, doszedłszy lat męskich, do gminy chrześcijańskiej, gdzie usłyszał płomienne wezwanie świętego Pawła Apostoła: „Panowie, bądźcie dobrymi panami, niewolnicy, zostańcie dobrymi niewolnikami!“ Poczul w oczach piekące



ły wzruszenia: oto wiara dawała mu moralną sankcję ustroju, oto otwierały się przed nim bramy niebieskie, wielbłąd przechodził przez ucho igielne.

## II

Profesor August Maria Knoll odstawił kieliszek, pochylił się w fotelu i gestykulując energicznie, powiedział:

— Niech pan nie zapomina, że zadanie Kościoła jest przede wszystkim duchowe. „Panowie, bądźcie dobrymi panami, niewolnicy, zostańcie dobrymi niewolnikami!“ — ten apel nie oznacza, ujmując rzecz socjologicznie, żadnej przemiany istniejącego porządku. Wprost przeciwnie: apel ten oznacza utwierdzenie danego porządku.

Ernest Fischer, członek sekretariatu KC Austriackiej Partii Komunistycznej, uśmiechnął się nieco ironicznie:

— A ja pana zapytam, profesorze, czy Kościół pragnie się związać z beznadziejną sprawą kapitalizmu, pozostać neutralnym, czy też — a sądzę, że byłoby to pożądane — chce związać się z siłami nowego porządku społecznego?

Stenograf zmienił ołówek. Dyskusja przeznaczona była dla angielskiego czasopisma; ostatecznie jednak przetłumaczono ją z powrotem na niemiecki i ogłoszono w „*Österreichisches Tagebuch*“ (nr 1, 2, 3, 1949 r.). Na razie jednak profesor Knoll odpowiedział, że jednym z dogmatów katolickich jest równość wszystkich ludzi przed Bogiem. Zasadnicza równość

ludzi, odpowiedział Fischer, jest również podstawowym twierdzeniem komunizmu.

— Jeśli idzie o sprawy socjologii — odpowiedział nieprzyjaźnie Knoll — to istnieją dwie formy porządku społecznego, z którymi Kościół nie może się pogodzić: anarchia i tyrania!

Ernest Fischer uderzył pięścią w poręcz kanapy. Stenograf pochylił się nad blokiem, angielski redaktor uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Czy mogę pana złapać za słowo, profesorze? — zapytał Ernest Fischer; niedawno walczył w parlamencie przeciw bezmyślnym podatkom, propagandzie wojennej i szowinizmowi. — Twierdzę, że kapitalizm stanowi niepokojącą syntezę anarchii i tyranii. W swojej formie współczesnej — jako kapitał monopolistyczny, jako imperializm i faszyzm — kapitalizm odrzuca wiarę, że rodzaj ludzki tworzy jedną rodzinę, że wszyscy ludzie są sobie równi. Kapitalizm może się rozwijać tylko na gruncie pojęć, że ludzie w obrębie jednego państwa nie są sobie równi, że narody nie są między sobą równouprawnione. Pójdę dalej. Twierdzę, że kapitalizm — może to brzmieć paradoksalnie — jest właśnie tym systemem, w którym anarchia musi się splatać z tyranją. Tak zwana wolna konkurencja, chęć zysku, wolność inicjatywy przedsiębiorcy; wszystkie te pojęcia kapitalizmu wytwarzają anarchię. Panowanie nad światem kilkunastu monopolów — oto tyrania. Świat drży przed nową wojną. Dlaczego? Ponieważ w Ameryce żyje kilkadziesiąt rodzin, dla których wojna nie oznacza krwi, bomb i grobów masowych, ale interes, zysk i dywidendę. Mogą one rozstrzygać o wojnie i poko-

ju, o życiu i śmierci. Cóż to innego niż diabelska mieszanka anarchii i tyranii?

Na to Profesor August Maria Knoll:

— Istnieje wiele rozmaitych teorii o istocie i teorii kapitalizmu. Można o tym dyskutować godzinami.

Przed wojną, pomyślał Ernest Fischer, Amerykanie nie produkowali konserw z mięsa końskiego. Podczas wojny nagromadzili konie w puszkach dla żołnierzy muzułmańskich, którzy spożywają koninę; nie wiedzieli jednak, że muzułmanom nie wolno odżywiać się konserwami. Dziś musimy za drogie pieniądze zjadać produkt ich ignorancji.

— Nie podawałem panu definicji teoretycznej kapitalizmu — rzekł niecierpliwie Ernest Fischer — lecz nakreśliłem obraz praktyki kapitalistycznej. Pragnąłem uprzytomnić panu, że system kapitalistyczny pozostaje w jaskrawej niezgodzie z wartościami, które chrystianizm uznaje za podstawowe i wieczne. Wolna osobowość człowieka została w społeczeństwie kapitalistycznym skazana na zagładę. Ekonomiczna tyrania kapitalizmu i anarchia, jaką on wytwarza, fałszują i krępują demokratyczne swobody człowieka; czynią człowieka dodatkiem do towaru, cieniem towaru. Gorzej nawet! Uczyniono towar z człowieka.

### III

Stary, wysuszony postem człowiek przewrócił się niespokojnie na twardym łożu. Przez weneckie okno wpadał do komnaty szary świt, posadzka błyszczała jak żelazne okucie. Staremu człowiekowi wydało się,

że stoi przed wpółotwartą bramą, lśniącą i okutą żelazem. W głębi ścielił się ogród czysty jak trawa po deszczu; wśród barwnych kwiatów i rozkwitłych drzew swawoliły przedziwnie piękne ptaki, śpiewając i świegocąc. Po ścieżkach spacerowały zadumane zwierzęta, wielbłądy, lwy, słonie, osły, woły i gryfy i przebiegali zaaferowani ludzie. Stworzenia rozstępowały się z szacunkiem przed grubym, opasłym, niskim człowiekiem w tużurku i meloniku, nad którym jarzyła się złota korona. Kiedy przechodzień podniósł udko kurze do ust, ogryzając je z apetytem, starzec zobaczył, że ma on na dłoniach krwawe stygmaty. Odwrócił się z przerażeniem do biskupa, który stał w bramie i lekko się uśmiechał.

— Tak, tak — pokiwał głową biskup. — Administrowanie majątkiem wymaga siły; trzeba się dobrze odżywiać.

— Spełniałem wszystkie przykazania Pańskie — szepnął bogaty młodzieniec, który stał obok starca i z utęsknieniem spoglądał na ogród bez perspektywy i na złote niebo nad ogrodem.

— To nic nie szkodzi — rzekł niefrasobliwie biskup.

— Depozyt miłości! — szepnął po łacinie starzec. — Strzeżliśmy go zawsze ze świętą pieczołowitością jako ojcowizny ubogich. Zdobywaliśmy wsparcie dla nędzy, przewyciężając wstyd połączony z wyciągnięciem ręki.

Biskup zmrużył rozkosznie oczy i rzekł:

— Mój drogi, pomyśl tylko, jak wielką administrację musieliśmy stworzyć! Banki Nogary, Mananta, Worms, grunta w Barcelonie, Madrycie, Sewilli, San-

tander, tramwaje miejskie w Buenos-Aires, kopalnie miedzi, węgla, żelaza i cyny, warsztaty, wodociągi, elektrownie i plantacje, nafta, bawełna i kawa — rozumiesz, kapitał musi odbijać. Potrzebujemy fachowców, młodzieńcze!

— Za moich czasów nie było kapitalizmu, byłem po prostu dobrym panem — rzekł niepewnie młodzieniec.

— Ależ, Bazyli, jak wy możecie! — wykrzyknął starzec, podnosząc do góry ręce. — Jakże posiadanie dóbr ziemskich może stanowić związek z kapitalizmem! W społeczeństwie, w którym prywatna własność uznana jest prawnie, osoba prawna (a taką przecież jest Kościół, nie zaprzeczysz) ma obowiązek posiadać dobra ziemskie, aby móc osiągnąć swoje ziemskie cele. Kościół i jego organizacje mają konkretny plan związany z ziemskim życiem. Plan ten będzie zrealizowany! Ale to nie ma związku z...

— Gdzie skarb twój, tam i serce twoje — uśmiechnął się pogodnie św. Bazyli. — Pamiętasz, tak mówił nasz Apostoł. Dotąd nie zrozumiał ścieżek historii. Pójdź, młodzieńcze, czeka cię wielkie zadanie. Mamy, zdaje się, strajk grabarzy w New Yorku.

Nagle wielbłąd, który spacerował po ścieżkach ogrodu, rzucił się na ziemię i zaczął czołgać się z wysiłkiem. Święty Bazyli zatrzymał dłonią młodzieńca, który chciał wejść do środka.

— Poczekaj, chłopcze, niech wielbłąd przejdzie przez ucho igielne. Już nieco wyleniał od praktykowania tej sztuczki. Ale ją polubił.

Starcowi wydało się, że brama zaczęła błyszczeć jak posadzka, gdy padnie na nią poranne słońce. Ma-

jordomo odsunął firanki, podszedł do łoża i potrząsnął starcem. Starzec otworzył oczy i szepnął półsenny:

— Gdzie skarb twój, tam i serce twoje.

— Amen, Ojczy Świąty — rzekł pobożnie majordomo.

— Szatanie, precz! — krzyknął ze zgrozą starzec, zrywając się z łoża.

Majordomo przeżegnał się ze skruczą i pomyślał, że Ojciec Świąty zwariował.

#### IV

Ucho igielne było szerokie, młodzieniec przestąpił próg raju, żył jako dobry pan.

Czy jednak człowiek może być dobrym handlarzem niewolników? Można tylko dobrze handlować niewolnikami, nic więcej. Już nie można być dobrym człowiekiem. Czy człowiek może być dobrym faszystą? Widzieliśmy tych dobrych faszystów, którzy wyprawdzając ludzi na śmierć, nie bili ich kolbami, nie gwałcili kobiet, owszem, rozmawiali z nimi po ludzku, a potem strzelali im w kark. Handlarz niewolników czytał Biblię, plantator zakładał parafie, fabrykant fundował kościoły, gestapowiec chował przykazania. Doświadczenie naszej epoki jest bogate: odpowiedzialność moralna spada na człowieka nie tylko za indywidualne odchylenie od praw i obyczajów jego klasy społecznej. Czy kapitalista, ten współczesny handlarz niewolników, może chować przykazania? Klasa kapitalistyczna posiada na własność klasę ro-

botniczą i może — korzystając z umyślnie utworzonej rezerwy bezrobotnych — zapewnić sobie wygodną cenę za pracę człowieka, może decydować o jego spokoju i wolności. Może również ustalać dowolne ceny za towar, topiąc jego nadmiar w morzu — jak kartofle i kawę, przetrzymując w magazynach — jak bawełnę i ryż, niszcząc traktorami — jak gotowe maszyny. Może głodzić, katować i zabijać człowieka. Może...

Ale dość. Drzewo wolności, jak powiedział przed dwoma wiekami wielki demokrata amerykański, musi być nieustannie zraszane krwią ludzi wolnych. Nie wystarczyło zawołać do właściciela niewolników: „Bądź dobrym panem!“ — i złożyć ręce do modlitwy o jego duszę. Trzeba było toczyć długie i ofiarne wojny o wyzwolenie człowieka. Nie wystarczyło zawołać do faszysty: „Faszysto, bądź dobry!“ — i złożyć ręce do modlitwy o jego duszę. Trzeba było milionów zabitych i zagazowanych, setek tysięcy zapracowanych na śmierć, trzeba było — zaiste — morza łez i krwi, aby zmyć z kontynentu krematoria i cele tortur, fabryki śmierci, nędzy i rozpaczy ludzkiej.

Człowiek nigdy nie był na ziemi sam. Miał potężnych, zorganizowanych wrogów: niewolnictwo, kapitalizm, imperializm, faszyzm. Ale człowiek jest potężniejszy niż jego wrogowie. Człowiek nie walczy samotnie o swoje wyzwolenie i szczęście. Człowiek wyzwala się wraz z całą ludzkością. Na idące przez wieki ostrożne zalecenie: „Panowie, bądźcie dobrymi panami! Niewolnicy, zostańcie dobrymi niewolnikami!“ — nasza ludzkość, nasz człowiek, nasz wiek odpowiadają porywającym, prostym, świadomym swej siły wezwaniem: „Powstańcie, których dręczy głód!“.

Profesor August Maria Knoll:

— Nie oczekuje pan chyba od Kościoła, że ogłosi on Manifest Komunistyczny?

Ernest Fischer:

— Uchowaj Boże!

Profesor August Maria Knoll:

— Kościół w ogóle nie pragnie wydawać żadnych manifestów. Dopiero wtedy, gdy dany system wykaże się dwudziesto-, pięćdziesięcio- albo nawet stuletnią praktyką, dopiero wtedy Kościół po obserwacji będzie mógł orzec, czy jest on zgodny z Objawieniem. Lecz typowi człowieka, który wstępuje na barykady, temu „chudemu“, napelnionemu nienawiścią fanatykowi — musi się Kościół przeciwstawić. Skoro jednak uchwyci on władzę w swoje ręce, Kościół musi się z nim porozumieć. Musi uczynić to między innymi choćby dlatego, że stał się on bardziej doświadczony, dojrzały lub (jeśli pan woli) — grubszy.

Ernest Fischer, komunista:

— Czy wierzy pan w to, że Chrystus był gruby?



Lubię gazety. Lubię przystawać przy kiosku ulicznym, czytać tytuły dzienników i przyglądać się okładkom tygodników. Lubię zapach farby drukarskiej, gorączkowy pośpiech zecerni, cierpliwych metrampaży, szum linotypów, ciężki dźwięk metalu. Lubię robić gazetę, świętować pierwszy, złoty jej numer. Sam byłem redaktorem pisma, które po dwu numerach upadło; inne, gdzie pracowałem w redakcji, zmieniało co miesiąc naczelnego i upadło po pół roku, pozostawiając gorycz zawodu i umiejętność łamania kolumny. Wrocławska, kongresowa gazeta „W Obronie Pokoju“, składana w trzech drukarniach i drukowana w sześciu językach, skończyła się po czterech numerach. Była usiana błędami, przemówienia delegatów nie były tłumaczone z polotem, ale zakończyliśmy pracę w ogromnej dumie i zmęczeniu. Wtedy, jadąc nocą do drukarni po tekst hiszpański, widziałem po raz pierwszy szofera, który prowadząc wóz spał z otwartymi oczyma. Nie słyszał, co do niego mówiłem; obudziłem go daleko za Wrocławiem. Potem, gdy wracaliśmy do zecerni, ja zapadłem w ciężki sen i szofer szarpał mnie ręką na zakrętach, żebym nie wyleciał z auta.

Pracując w redakcji, przyjaźniąc się z drukarnią, nauczyłem się nie tylko pisać do gazety, nauczyłem

się również ją czytać. Żołnierz w okopach widzi skraj przedpola, zasieki drutu kolczastego, las, rzeczkę, bagno; lecz poza nimi widzi sens i cel walki. Takim żołnierzem jest człowiek, który bierze do ręki gazetę.

Krótkie opowiadania z gazet pochodzą z notatek i artykułów dziennikarskich. O paszporcie wdowy po Mussolinim i ciąży Elzy Koch — informował w styczniu 1949 roku tygodnik „Newsweek”. Kardynał Francis J. Spellman, Arcybiskup Nowego Jorku, który w lutym 1943 roku przedsięwziął półroczną podróż wzdłuż frontów wojny i co tydzień pisał obszernie, synowskiej miłości pełne listy do ojca, opowiedział o swej wizycie u generała Franco. Dzieje wolframu z okolicy Santiago de Compostela opowiedziała „Neue Berliner Illustrierte” (1. III. 1949). Knajpiarz Bernardo nie zabił córki burmistrza z Tuy, wzbogacił się na oberży, uśmiechał się promiennie, gdy go fotografowano do pisma. Na handlu wolframem wzbogacił się również winiarz Parga, który podczas gorączki wolframowej wybudował sześć fabryk, nabył wiele okrętów i wykupił wiele kopalni wolframu, miedzi i cynku. Zarobił około stu milionów pesetów sprzedając rudę monopolom niemieckim. Jedynie wieśniakowi Evaristo Lois nie poszczęściło się zupełnie. Sprzedawszy bogate grunta Pardze, został po wojnie bez grosza. Historię sądu w Salonikach opowiedział korespondent angielski, Patrick O'Donovan, który makabryczną relację zakończył aforyzmem: „Obecny rząd mimo wszystkich swoich usterek jest jedynym praktycznym rządem dla Grecji. Nie można go niczym zastąpić” (*The Continuing Tragedy of Greece*, „Listener”, nr 1023).

O dniu plantatora i filmie Anny Neagle wielkie reportaże zamieścił tygodnik „Picture Post“ (23. IV. 1949), mieszając pornografię z polityką.

Marzyłem, aby napisać książkę złożoną z opowiadań z gazet. W marzeniu praca wydaje się człowiekowi lepsza i piękniejsza i sam człowiek jest jakby silniejszy. Lecz siły nie zawsze dorównują zamiarom. Chciałem napisać książkę o szaleństwie świata kapitalistycznego, które przejawia się w sprawach wielkich i drobnych, w wierze w bombę atomową i Franka Sinatrę, w zachwycie nad demokracją amerykańską i różami Agi Khana, w oddaniu się ojczyźnie i przedsiębiorcy, w miłości do Boga i do filmów w Hollywood, w imperializmie i pornografii.

Codziennie odczytuję tę książkę z gazet, rozdział po rozdziale.

Wdowa po Benito Mussoliniem usiadła na brzegu fotela, położyła na kolanach torebkę i tygodnik i podniosła oczy na urzędnika.

— Czy pan minister zechciał przychylić się do mojej prośby? — zapytała z uśmiechem zażenowania.

— Rada ministrów uznała prośbę pani za umotywowaną — powiedział uprzejmie urzędnik i ciekawie jej się przyjrzał. — Pan minister jest dla pani bardzo życzliwy.

— Patrzy na mnie jak na zdradzoną żonę — pomyślała z rozdrażnieniem wdowa. — Teraz już wszyscy wiedzą, że miał kochanki.

— Zaraz wydam pani dokumenty — rzekł urzędnik i otworzył szafkę z teczkami.

— Ci Amerykanie bawią się jak syte dzieci — pomyślała przeglądając machinalnie tygodnik. Całą stronę amerykańskiego tygodnika zajmowało wielkie ogłoszenie. Na ogłoszeniu kobieta w sukni balowej podnosiła dłonie w czarnych rękawiczkach, aby upiąć włosy; jedwabny szal, zarzucony niedbale na ramiona, spływał aż do jej stóp. Kobieta przechyliła głowę i spoglądała z pobłażaniem na roztańczone pary, wirujące na parkiecie. Obok złocistej blondynki, która zwisiała na ramieniu promiennego mężczyzny, nieskazitelnie ubrany chłopiec z baczkami tańczył z bru-

netką w czarnej sukni i zupełnie nie zwracał uwagi na kobietę, która gniewnie mu się przypatrywała. Była to dojrzała dama o bujnych kształtach; siedziała na plecionej kozetce, dotykając stopą rozłożystego kaktusa; paliła papierosa i nerwowo marszczyła brwi.

— Oni się niczego nie nauczyli i nic nie widzieli! — pomyślała wdowa po Mussolinim. — Zabrał kosztowności, uciekł nie jak dyktator, lecz jak mąż pod pantoflem.

Za plecami kobiety, która upinała włosy, stał mały, aerodynamiczny samochodzik z tabliczką C—08671. W szybie samochodziku odbijały się gałęzie przydrożnego drzewa i błyszczało słoneczne zimowe niebo. Pod stopami tańczących widniał napis tuszem: „Szczerśliwy Nowy Rok — to włoski samochód Fiat. FIAT— to wygoda, oszczędność, bezpieczeństwo i nowość“. U dołu stronicy podano adresy firm amerykańskich, które sprzedawały samochody. Firmy te znajdowały się w Wiedniu, Monachium, Linzu, Frankfurcie i Bremie.

— Wyprzedają majątek — pomyślała wdowa po Mussolinim i otrząsnęła się na wspomnienie pochodzenia bezrobotnych. — Oni wszyscy są jednakowi, niech giną! Zostawił nas samych, do końca myślał tylko o niej. Zawieźli ich jacyś oberwani ludzie do Giulino di Mezzegra, podszedł do kamiennego muru, ona patrzyła na niego. Potem wisiał nogami do góry, tłum krzyczał i cieszył się, wożono go od miasta do miasta jak wystawę.

Na granatowym tle stał w ogromnej butli whisky, narysowanej energicznymi kreskami kredy, siwy

człowiek w ubraniu kelnera i nalewał do kieliszków wódkę. „Po co przysparzać sobie kłopotów? Pij lepsze koktaile i mniej trudź się przy picciu! Zostaw trud dla Heubleina! Barman w butelce rozwiąże zagadnienie twojej niedzielnej rozrywki w sposób łatwy i przyjemny. Barman w butelce ofiarowuje ci osiem rodzajów koktailów — każdy skomponowany ze znakomitych likierów z 1892 roku! Manhattan różowy! Suchy Martini! Stinger! Daiquiri! Gibson! Side Car! Whiskey Sour! Old Fashioned! Dodaj lodu i baw się dobrze!“

— Proszę pokwitować odbiór paszportu — powiedział urzędnik. Wdowa po Mussolinim ujęła pióro i podpisała się w księdze.

— Zamierza pani podróżować? Dla zdrowia? Dla przyjemności?

— Nie. Szykuję się do ucieczki — odpowiedziała wdowa i wsunęła paszport do torebki.

Urzędnik podniósł brwi ze zdziwieniem.

— Przed komunistami, zanim wezmą władzę w swoje ręce — odrzekła sucho wdowa.

— No, czas jeszcze nie nagli — rzekł urzędnik.

— Mam doświadczenie — powiedziała wdowa i podniosła się z fotela.

Urzędnik wyszedł zza biurka i pochylił się do dłoni wdowy.

— A co pani teraz robi, jeśli wolno spytać?

— Na razie hoduję kurczęta — odpowiedziała wdowa po Mussolinim. Uśmiechnęła się niespodziewanie pogodnie i dodała:

— One są rozkoszne! Umieją się bawić jak prawdziwe dzieci!

Madryt, Hiszpania,  
16 lutego 1943 r.

Mój Drogi Ojcze,

Spotkałem w niedzielę na kolacji pułkownika Hohenthala, attaché wojskowego ambasady amerykańskiej, który powrócił właśnie z Afryki Północnej. Następnego dnia, tj. 15 lutego, ambasador Hayes towarzyszył mi przy rozmowie z ministrem spraw zagranicznych Hiszpanii, księciem Jordana. Odniosłem wrażenie, że książe interesuje się głęboko Ameryką. Kolację spożywaliśmy w Nuncjaturze. Nuncjusz, Arcybiskup Cicognani, gościł prócz nas Biskupa Madrytu Leopoldo Eijo y Garay, Biskupa Barcelony Gregorio Cassusa i innych Biskupów. Jedząc kolację rozmyślałem wiele nad wstrząsającą i złowrogą sentencją, którą obdarzył mnie człowiek znający Hiszpanię na wylot. Powiedział on: „Dwadzieścia cztery godziny rewolucji w Hiszpanii oznacza wymordowanie wszystkich biskupów, księży i zakonników, którzy wpadną w ręce tłumu“. To niezwykle, że jadłem kolację w gronie — być może — przyszłych męczenników!“

Arcybiskup wykręcił arkusik z maszyny, poprawił błędy i dźwignął się od biurka. Słońce jeszcze nie zaszło, lecz w ogrodzie kładły się już długie i soczyste cienie. Ptaki śpiewały radośnie, przez szeroko otwarte okno wlewał się rzeźki chłód wieczoru i upajający

zapach zieleni. Na mięsistych liściach palm i kaktusów srebrzyły się krople deszczu, cyprysy i pinie drżały lekko na wietrze. Ogrodnik, który grabił ścieżkę, ujrawszy Arcybiskupa w oknie, zdjął pobożnie czapkę i ukląkł na spulchnionej ziemi. Arcybiskup podniósł dłoń z błogosławieństwem i wrócił do biurka. Marszcząc w zamyśleniu brwi i wsysając pulchne policzki, pisał dalej:

„W Barcelonie spotkałem wielu przyjaciół, między innymi Ojca Isasi, Karmelitę, który wiele lat spędził w Stanach Zjednoczonych. Zetknąłem się również z kilku republikanami i rojalistami. Szczególnie rozmowny był pewien młody człowiek. Jego zdaniem, komunizm w Hiszpanii szerzy się wskutek głodu. W Barcelonie mieszka ponad ćwierć miliona ludzi. Tylko jedna piąta żyje w pewnym dostatku, reszta walczy rozpaczliwie o byt. Lecz choć warunki życia są okropne, nigdy nie wolno tracić nadziei! Wszystko się może odmienić, czemuż więc nie żywić nadziei, ufając lasce Boga?“

Arcybiskup znowu przerwał, gdyż zapukano do drzwi. Wszedł młody urzędnik ambasady i powiedział, że prasa pragnie uzyskać wywiad od Arcybiskupa. Arcybiskup odpowiedział sekretarzowi, że nie ma nic do zakomunikowania prasie. Został zaproszony do Madrytu, aby odprawić Mszę Świętą w katedrze, co uczyniwszy odleci z Barcelony do Watykanu. Sekretarz uklonił się i wyszedł. Arcybiskup zaś pisał dalej:

„W poniedziałek wieczorem brałem udział w zebraniu kółka Amerykanek i Hiszpanek w domu zwanym „Casa Americana“. Kobiety te pod przewodnictwem pani Hayes szyją, cerują i spełniają inne po-



winności miłosierdzia. Opuściwszy to szczupłe grono, powróciłem do Ambasady, gdzie dowiedziałem się, że Generał Franco pragnie mnie jutro przyjąć“.

Przed audiencją Arcybiskup przeczytał raz jeszcze orędzie prezydenta, wygłoszone w dniu urodzin Lincoln, przestudiował również referat ambasadora Hayesa o „Celach Wojennych Ameryki“, po czym udał się samotnie do pałacu Prado, otoczonego ogromnym parkiem.

Kompania honorowa sprezentowała broń i Arcybiskup wszedł po marmurowych schodach do stylowej sali, ozdobionej arrasami projektu Goyi, wyłożonej cudownej piękności dywanem z 1825 roku i wypełnionej mahoniowymi stołkami, fotelami i kwiatami. W kryształowych kandelabrach odbijały się tęcze słońca, zwierciadła pomnażały przepych sali. Arcybiskup ogarnął komnatę pobeżnym spojrzeniem i zaproszony przez Barona de Las Torres, szefa protokołu, przeszedł przez hall, drugą komnatę, równie ogromną i pyszną jak pierwsza, i przez podwójne drzwi wkroczył do gabinetu Generalissimo. Mały, łysawy człowiek w mundurze generała, przepasany szarfą na brzuchu, wstał zza biurka i podprowadził gościa do fotelu. Baron de Las Torres uklonił się i wyszedł, starannie zamykając drzwi.

— Pańskie biurko, Generale, przypomina mi moje — rzekł uśmiechając się Arcybiskup. Biurko Generała zavalone było teczkami i papierami, pąsowe róże w wazonie pachniały urzekająco.

— Modlitwa i czyn są zawsze podobne do siebie — rzekł Generalissimo. Usiadł w fotelu i podsunął Kaplanowi papierosy. „Opowiadał mi ktoś, kto go znał

przez całe życie — pisał dalej Arcybiskup — że Generalissimo jest bogobojnym, poważnym i inteligentnym człowiekiem, który dąży do realizacji tego, co uważa za najlepsze dla Hiszpanii.

Podczas długiej dyskusji Generalissimo mówił po hiszpańsku, ja zaś po włosku. Porozumiewaliśmy się bardzo łatwo. Uśmiechnął się w czasie rozmowy z pół tuzina razy, co szczególnie zapamiętałem, gdyż nigdy nie widziałem go uśmiechniętego na zdjęciu.

Konwersacja nasza dotyczyła sytuacji międzynarodowej oraz wojny. Przeszliśmy przez ogromny szmat ziemi, w czasie zaś od Traktatu Wersalskiego doszliśmy do teraźniejszości, ale nie zatrzymaliśmy się przy niej. Wymieniliśmy kilka myśli o przyszłości. Wyjaśniłem, jak umiałem, amerykański punkt widzenia, uzasadniając go faktami i przykładami.

Naturalnie, Generalissimo zdawał sobie sprawę, że rozmawiam z nim jako prywatny obywatel amerykański, dążący do dobra swojej ojczyzny, i jako ksiądz, który pragnie duchowego i doczesnego dobra wszystkich narodów“.

Słońce pochyliło się mocno na niebie, gdy Arcybiskup podniósł się z fotela. Generalissimo powstał również, obszedł biurko i rzekł nieśmiało:

— Ośmielam się prosić Jego Ekselencję.

Arcybiskup przycisnął mu lewą dłonią ramię i podniósł prawą dłoń do czoła. Kiedy Baron de Las Torres otworzył podwójne drzwi gabinetu Generalissimo, ujrzał go klęczącego ze schyloną głową na dywanie, podczas gdy Arcybiskup czynił dłonią znak krzyża świętego nad jego głową i odmawiał szeptem modli-

twę. Baron de Las Torres pochylał głowę na piersi i ugiął pobożnie kolano.

„Kiedy się z nim żegnałem — pisał dalej Arcybiskup — Generalissimo jeszcze raz wyraził swój podziw dla Ameryki i życzył mi dobrej podróży“.

Arcybiskup wykręcił arkusik z maszyny, poprawił piórem błędy i własnoręcznie dopisał u dołu stronicy:

„Drogi Mój Ojcie, niech Cię Bóg błogosławi!“

Francis J. Spellman  
Kapelan Armii Stanów Zjednoczonych  
Arcybiskup Nowego Jorku“.

Otyły, łysy i spocony knajpiarz Bernardo siedział przy otwartym oknie „Gospody Apostolskiej“ i bębniąc palcami po parapecie cierpliwie czekał na samochód. Samochód wzbijając żółte kłęby kurzu ześliznął się wyboistą drogą po zboczach, minął gotycką katedrę, otoczoną pięknym i starym cmentarzem, na którym leżeli książęta i krzewiły się róże, wjechał na rynek miasteczka, przyhamował i zatrzymał się przed knajpą. Knajpiarz Bernardo podniósł się z westchnieniem od parapetu, wytarł mokrą ścierką zatłuszczoną ceratę stolika i otworzył oszklone drzwi „Gospody Apostolskiej“. Z samochodu wysiadł major amerykański i podał dłoń towarzysze. Dziewczyna wyskoczyła lekko z auta, strząsnawszy złote włosy, które wiatr rozczesywał jej na policzek. Knajpiarz Bernardo znowu wzruszył się wspomnieniami i zamrugał szybko oczyma. Kochankowie przekroczyli próg „Gospody Apostolskiej“ i zamówili obiad. Knajpiarz Bernardo otworzył okienko w drzwiach do kuchni i wrzasnął na służącą. Kochankowie usiedli przy stoliku i wyglądali przez okno, za którym leżało smutne i niemrawe miasto.

— Wściec się można z upału — powiedziała dziewczyna. Otworzyła torebkę i wyjąwszy szminkę, przy-

prawiała sobie wargi. Powiedziała: — Ohydne miasteczko! I pomyśl, że tu mieszka Arcybiskup!

— Drogi są złe, jak wszędzie w tym kraju — rzekł z namysłem major. — Powinni zbudować inną sieć, zwłaszcza koło Pirenejów. Znowu będziemy musieli płacić.

Knajpiarz Bernardo przyniósł z piwnicy wino w dzbanku i postawił przed kochankami. Powiedział do dziewczyny:

— Madame, gdy zobaczyłem panią...! Pani jest żywym odbiciem mojej ukochanej Soledad! Niestety, ona — westchnął i nalał z dzbanka wino do szklanek.

Młody major roześmiał się i poklepał knajpiarza Bernardo po tłustych plecach.

— Mam piękny i chłodny pokój, okna wychodzą na ogród — powiedział knajpiarz Bernardo. — Myślałem, że będzie naszym gniazdem. Westchnął znowu i oddalił się do kuchni.

— Co on mówił? — zapytała dziewczyna, która nie знаła hiszpańskiego.

— Proponował nam pokój. Był bardzo wzruszony — odpowiedział major.

— Najpierw pójdziemy zwiedzić miasto, skoro już tu jesteśmy — rzekła energicznie dziewczyna. — Wyroby lniane, stolica arcybiskupia, katedra, w katedrze grób Apostoła Jakuba Młodszego.

— Starszego — powiedział łagodnie major.

Dziewczyna uśmiechnęła się i popatrzyła na niego z miłością.

— Przepraszam cię. Oczywiście, Starszego — powiedziała potulnie.

Knajpiarz Bernardo wrócił z kuchni i powiedział do kochanków:

— Obiad będzie za chwilę. Państwo wybaczą, ale życie u nas się wolno toczy. Rośniemy przy zapomnianej ścieżce.

— Pamiętają o was! — rzekł wspaniałomyślnie major i gestem zaprosił go do stolika. — Czy zawsze u was było tak sennie?

— Przekłęte miasto! — rzekł z gniewem knajpiarz Bernardo. Ulicą snuł się leniwie tłum, muł ciągnął apatycznie dwukołowy wózek, czarny pies bawił się szmatą w rynsztoku, dwaj malcy w mundurach przebiegali z tupotem pod oknami, środkiem jezdni wlekli się robotnicy z łopatami.

— Przekłęte miasto! — powtórzył knajpiarz. — W dzień powszedni mamy upał i głód, w niedzielę walki byków i nabożeństwo w katedrze. Ale dawniej! Samego wina sprzedawałem za dziesięć tysięcy peset. Złoto płynęło z kamienia. Święty Jakubie, Patronie Gospody, wróć nam te czasy!

Knajpiarz Bernardo opamiętał się i powiedział do majora:

— Pan wie, ona umarła przez te kamienie.

— Co on znowu mówi? — zainteresowała się dziewczyna, która nie знаła hiszpańskiego.

— Jego narzeczona zginęła podczas wojny — przetłumaczył major. — Potem mówił o kamieniach.

— O jakich kamieniach? — zapytała niecierpliwie dziewczyna. — Spytaj go, czy da nam obiad.

— Co z tymi kamieniami? — spytał major. — Kopalnie?

Knajpiarz Bernardo rozsiadł się wygodniej i przysunął twarz do twarzy majora:

— Wolfram, proszę pana, wolfram, z którego robią armaty.

Major skrzywił się z niesmakiem, lecz knajpiarz Bernardo zmył swe prostactwo potokiem słów:

— Kiedy była wojna, zakochałem się w córce burmistrza z Tuy. O, byłem wtedy smukły, opalony i miałem piękne włosy. Gołę się teraz do skóry, dla pokuty.

— On mówi, że nie jest łysy, że się goli dla pokuty — przetłumaczył młody major kochance. Kochanka roześmiała się i pogładziła knajpiarza Bernardo po włochatej dłoni.

— Chodziliśmy razem na długie przechadzki w góry, nocne drzewa stały pod niebem ciemne i milczące, gwiazdy patrzyły na nas jak oczy aniołów.

Pociągnął ze szklanki wina i mówił dalej:

— Niedaleko Tuy przebiega granica z Portugalią. Gwardia pilnuje granicy, niektóre wioski przedzieliła drutem kolczastym. Po jednej stronie został kościół, po drugiej karczma. Ludzie nie zważali na granicę, z Hiszpanii chodzili do Portugalii, aby się pomodlić, z Portugalii do Hiszpanii, aby się napić wina. Ale przez ten kamień granicę zamknęli zupełnie. Przyjechali do nas Anglicy i Niemcy, inżynierowie, bankierzy, agenci, górnicy, artyści — wszyscy szukali wolframu. Budowali kopalnie, sprowadzali robotników, płacili złotem, modlili się w katedrze, pili u mnie wino. Nie wiedzieliśmy, że wolfram to ten kamień, z którego chłopci budują u nas chałupy.

— Co on znowu mówi? — zapytała dziewczyna,

marszcząc brwi. Ale nie potrafiła nic zrozumieć. Gdy młody major wiernie przełożył jej słowa knajpiarza Bernardo, powiedziała:

— Powinno się to wszystko wykupić. Przecież oni marnują surowiec strategiczny.

— Na razie nie ma potrzeby! — rzekł z lekceważeniem major. — Niechaj się sami w nim grzebią.

— Panowie budowali fabryki, a myśmy, biedni ludzie, łamali kamienie rękoma. Chłopi zbierali kamień na polach i sprzedawali agentom, którzy kupowali całe domy i wsie; mury kościelne, drogi bite i schody na zboczach. Kiedy już wszystko zabrali, dostawaliśmy wolfram z Portugalii. Ludzie stawali przed drutami i rzucali pieniądze na tamtą stronę. Krewni z Portugalii przerzucali nam bryły wolframu. I właśnie wtedy Soledad umarła.

— Zastrzelono ją? — zapytała dziewczyna, której przetłumaczono opowiadanie knajpiarza.

— Nie! — odrzekł z westchnieniem knajpiarz. — Dostała w głowę kawałem granitu, wokół którego owinięto pieniądze. Umarła na miejscu, nie wyrzekłszy ani słowa. Bogaciłem się na winie, chciałem jeszcze złota z kamieni.

Popatrzył na swe owłosione ręce i tępo rzekł:

— Przekłète ręce.

Rozmowny knajpiarz umilkł, wstał od stołu i powlókł się do kuchni. Wygnał z niej tęgą służącą, która postawiła przed kochankami dymiący obiad.

— Nudne miasto — powiedział major. — Pojedziemy dalej, jak myślisz?

— Obiecał nam pokój na noc — odparła rzeczowo



dziewczyna. — Muszę zobaczyć grób Apostoła Jakuba Młodszego.

— Starszego — rzekł łagodnie major.

Dziewczyna uśmiechnęła się i popatrzyła na niego z miłością:

— Przepraszam cię. Oczywiście, Starszego — powiedziała potulnie.

Zjedli obiad, zamówili u knajpiarza nocleg, dali suety napiwek dziewczynie i odjechali samochodem do katedry. Przy grobie Apostoła Amerykanka uklękała i z przejęciem zmówiła pacierz za nieszczęsną kochankę pana Bernardo; młody major mocował się z troskami, jakich przysparzała mu angielska Beralt Tin and Wolfram Company, operująca w tej okolicy. Po zwiedzeniu katedry wsiedli do samochodu i oglądając tereny starych kopalni, znowu zajechali przed „Gospodę Apostolską“. Orzeźwili się szklanką wina i nim słońce zaszło, zamknęli się w pokoju gościnnym, który miał być gniazdem miłości smukłego Bernardo i pięknej Soledad, córki burmistrza z Tuy.

Czy znasz swój hymn narodowy? — zapytał surowo sędzia i dał znak podbródkiem, że czeka na odpowiedź.

— Dziwny naród ci Grecy — rzekł półgłosem dziennikarz do sąsiada. Siedzieli u stóp stołu prezydialnego i patrzyli w twarz oskarżonym.

— Ja to codziennie widywałem — wzruszył ramionami sąsiad. — Posiedzisz tutaj dłużej, to się przyzwyczaisz.

Rozprawa toczyła się w zimnej i odrapanej auli gimnazjalnej. Oskarżeni zajmowali prawie połowę pomieszczenia. Stłoczono ich pod niskim, drucianym kojcem na starych, pluszowych fotelach z prowincjonalnego kina. Pod ścianami siedzieli nieruchomi policjanci w płaskich hełmach, trzymając między kolanami angielskie karabiny.

— Znam nasz hymn narodowy — odpowiedział chłopiec w płaszczu wojskowym. Podsądnych odziano w wybrakowane mundury żołnierskie, rozprawa odbywała się publicznie, nieruchomy, zbity tłum stał za kojcem i milcząc patrzył w oczy dziennikarzom i sędziom.

Chłopiec liczył lat piętnaście, miał nieco wystraszonego wzrok, ale głos jego brzmiał wyraźnie i czysto. Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie grzązką ścież-

kę wśród winnic, posapywania towarzyszy ciągnących sznurami maszyny, głosy komendy i migotliwe światła portu leżącego nad spokojnym morzem. Krany, wyjmujące ze statków skrzynie z amunicją i prowiantem, stanęły po trzecim strzale; potem wybuchła w porcie amunicja; potem, wycofując się wśród wzgórz, wpadli w zasadzkę.

— Zaśpiewaj, to się przekonamy — powiedział sucho sędzia. Za plecami sędziego stała stara armata Kruppa kalibru 75 milimetrów. Był to główny dowód rzeczowy oskarżenia. Nad armatą i nad stołem sędziowskim, pokrytym czerwonym suknem, wisiał elektryczny zegar angielski; nad zegarem wisiała ikona przedstawiająca Zbawiciela, który błogosławi ludzi.

Chłopiec wyprostował się, ujął mocniej poręcz fotela stojącego przed nim, drżącym głosem zaintonował pieśń — i urwał.

— Spróbuj jeszcze raz — powiedział z pogardliwym uśmiechem sędzia. — Mówisz, że walczysz za naród, ale hymnu narodu nie umiesz, prawda?

Chłopiec zacisnął usta, odrzucił włosy z czoła, zaczął jeszcze raz i znowu umilkł. Wtedy wstała koło niego dziewczyna w jasnej sukience, położyła mu dłoń na ramieniu i podjęła śpiew. Stu dwudziestu więźniów podniosło się w odrutowanym kojcu z czerwonych pluszowych foteli, wyprostowało się i pełną piersią podchwyciło hymn.

Zmieszani sędziowie wstali z za stołu prezydyjnego i nałożyli birety, policjanci wyprostowali się pod ścianami i także zaczęli śpiewać. Kamienny tłum, który suchymi oczyma przypatrywał się rozprawie, śpiewał

razem z więźniami. Dziennikarze ze zdziwieniem spoglądali na siebie. Kiedy więźniowie skończyli hymn, usiedli pierwsi. Potem usiedli policjanci, potem sędziowie zdjęli birety, zajęli miejsca za stołem i rozprawa potoczyła się dalej. Po przesłuchaniu oskarżonych oraz po mowach prokuratora i obrońcy z urzędu sąd udał się na naradę. Połowę więźniów skazano na karę śmierci, połowę na ciężkie obozy i długoletnie więzienia.

Po rozprawie policjanci wyprowadzili skazańców, tłum opuścił w milczeniu salę sądową, woźni zaczęli sprzątać aulę i korytarze.

Dwaj dziennikarze szli ulicą, zmieszani z tłumem.

— Powinni mieć inny sąd—powiedział pierwszy.— To świństwo, co oni robią.

— Napiszesz o rządzie? — zapytał drugi. — To oklepany temat.

Pierwszy wzruszył ramionami i powiedział:

— Napiszę, że mimo wszystko to jedyny rząd dla nich. Czym go zastąpisz?

— Już się przyzwyczaiłeś — powiedział drugi z uśmiechem.

Weszli na kolację do hotelu oświetlonego neonami i zajęli stolik pod oknem. Za oknem widać było spokojne morze i port, w którym skrzypiały niestrudzenie krany dźwigające prowiant, amunicję i broń.

Opowiadanie niniejsze mówi o ambicji człowieka, który chciał ustanowić wieczny rekord, oraz o nie-trwałości rekordów, które (nie tylko w sporcie) są systematycznie ulepszone.

Młody komendant więzienia wbiegł przeskakując stopnie na piętro, machnął dłonią wartownikowi, zawołał korytarzową, która pilnowała rozdawania kolacji, i kazał otworzyć celę. Zatrzaskał drzwi, powiesił czapkę na gwoździu i rzekł ostro do kobiety, która spokojnie smarowała przy stole chleb masłem:

— Znaleziono abażury, Frau Elza.

Frau Elza dołała kawy do kubka i powiedziała do oficera:

— Proszę siadać na łóżku, panie komendancie, tylko niech pan nie pogniecicie pościeli. Czemu pan stoi oniemiały. Boi się pan?

— Więc to prawda? — zapytał z goryczą młody komendant.

— Które znalezione? — spytała spokojnie Frau Elza i nadpiła kawy z cynowego kubka.

— Najstraszniejszy jest różowy abażur z dwoma gołąbkami, które się całują — rzekł ponuro młody komendant.

— On mówił, że to z pleców kobiety, a jak pan sądzi? — zapytała Frau Elza.

— Nie wiem — odpowiedział młody komendant.

— A przyglądał się pan mitologicznemu? Z Minotaurem?

Młody komendant potrząsnął przecząco głową.

— Widocznie nie znaleziono — rzekła z szelmowskim uśmiechem Frau Elza. — On mówił, że zdarł skórę z brzucha marynarza. Kolorowy tatuaż. Kiedy królowa Pasiphae zakochała się bez wzajemności w byku dworskim, kazano rzeźbiarzowi uczynić piękną statwę krowy wydrażonej w środku. Byk zakochał się w krowie i okazywał jej płomienne względy, nie wiedząc, że w krowie siedzi Pasiphae. Właśnie te względy wytatuował sobie marynarz. Zaśmiewałam się, ile razy na byka spojrzalam.

— Powieszę panią za to, Frau Elza — rzekł młody komendant i popatrzył z przyjemnością na kobietę. Była szeroka, mięsista jak owoc, miała różowe policzki i jasne włosy, mundur ciasno opinał jej kształty, spod skąpej spódniczki wyzierała biała skóra ud. Energicznie ściągnięte usta i bystre oczy — znakowały silną i niezłomną duszę.

— Czemu mnie pan kazał dożywiać? — zapytała z rozbawieniem Frau Elza. Młody komendant schylił głowę i utkwiał wzrok w linoleum.

— Niemieckim dziewczętom trzeba pomóc żyć — powiedział nie podnosząc oczu.

— Ależ, komendancie, ja jestem kobietą! — zawołała Frau Elza, ukazując w uśmiechu zdrowe, perłowe zęby. Skończyła jeść i zręcznie posprzątała ze stołu.

— Chciałbym panią posiąść — rzekł młody komendant więzienia. Cela Frau Elzy urządzona była skro-

mnie, ale wygodnie. Komendant siedział na żelaznej pryczy, wyścielonej podwójnym materacem i zasłanej białym kocem kanadyjskim. Pod oknem stał stół, w kącie umywalka i szafka na ubranie, jedzenie i książki. Za oknem widać było zburzone miasto, nad którym z poczerniałych murów unosiły się niebieskie smużki dymu. Na horyzoncie dachy świeciły jeszcze odblaskiem zachodzącego słońca, ale w mieście leżał już cień jesiennego wieczoru. Drzewa stały prawie czarne i nieruchome w cichym zmroku, wymarłymi ulicami brnęli po gruzie spóźnieni przechodnie, aleją przemykały się na jeepach wesole patrole wojskowe.

Frau Elza zapaliła papierosa po kolacji, zaciągnęła się z rozkoszą dymem i powiedziała:

— Ależ, młody człowieku, przecież ja mam męża!

— On zostanie powieszony! — rzekł młody komendant i popatrzył surowo w zmrużone oczy kobiety.

— Przecież pan nie zakochał się we mnie? — zapytała z niedowierzaniem Frau Elza.

— Boże broń! — krzyknął komendant więzienia i wzdrygnął się mimo woli. Frau Elza znowu uśmiechnęła się ubawiona i spojrzeniem oceniła młodego komendanta. Był to prosty chłopiec, miał poczciwe oczy i szczerą twarz.

— Nie jest pan wygłodniały erotycznie — powiedziała Frau Elza. — Czy w Ameryce...

— Byłem w Ameryce agentem teatralnym — przerwał jej młody komendant.

— Przecież bez kłopotu może pan mieć tutaj tyle dziewcząt, na ile panu starczy czekolady i papierosów.

— Chciałbym ustanowić rekord, wieczny rekord—

rzekł młody komendant. Zamyślił się na chwilę i rzekł z ożywieniem: — Niektórzy zbierali trofea wojenne, ale było ich zbyt wielu, nikt się nie wyróżnił. Oglądałem obozy, ale takich też było kilka tysięcy. Sфотографowałem się z żołnierzem rosyjskim, ale takich zdjęć Armia ma setki. Spałem z dziewczętami narodów wyzwolonych, ale każdy to robił. Chcę być jedynym Amerykaninem, który miał kobietę zbierającą abażury ze skóry ludzkiej.

— I żonę wisielca — dodała z ironią Frau Elza. — Która sama będzie niedługo wisieć.

— Nikt nie pozwoli na to, żeby ciężarna kobieta została skazana na karę śmierci — rzekł twardo młody komendant więzienia.

— Zdaje się, że chce mnie pan uratować? — powiedziała drwiąco Frau Elza.

— Chcę zdobyć wieczny rekord — rzekł poważnie młody komendant. Frau Elza zaciągnęła się mocno papierosem i chwilę milczała. Wreszcie odrzuciła papieros, rozdlubała tlejący się niedopałek w popielniczce i zaczęła rozpinać bluzkę.

— Niech pan ustanawia rekord, panie komendancie — powiedziała.

Potem młody komendant ustanowił rekord. Potem Frau Elza uniosła się na łokciu na pryczy i głaszcząc młodego komendanta po spoconym czole zapytała go z filuternym uśmiechem:

— Mój drogi, czy nie chciałbyś być jedynym Amerykaninem, który dwa razy miał kobietę od abażurów i wisielca?

Potem powieszono męża Frau Elzy. Potem młody komendant był jedynym żyjącym człowiekiem, który



tyle razy miał kobietę zbierającą abażury z ludzkiej skóry. Potem Frau Elza zaszła w ciążę, została zwolniona z więzienia i w niedługim czasie rekord Amerykanina upadł.

Dwaj opaleni, tłuści chłopcy wlekli się ulicą, starannie unikając słońca i stawiając stopy pośrodku płyt chodnika. Rozpalone kamienie parzyły przez cienkie podeszwy sandałów, powietrze ciągnęło się jak mdły syrop. Nad ulicą wisiał suchy kurz i osiadał na anemicznych, podgolonych akacjach, które stały wśród ruin nieruchome i cierpliwe. W budce lśniły pod pergaminem żółte czereśnie i rozplływały się w koszykach przejrzałe truskawki.

— Odmówił mi informacji w sprawie rozmieszczenia agentów w teatrze — powiedział pierwszy. Był w pomarańczowej koszuli uszytej z jedwabiu spadochronowego, miał na sobie krótkie szorty z gabardiny i niósł raketę tenisową. Wiosną złożył pracę magisterską na Akademii i piąty tom wierszy w Wydawnictwie, namiętnie kochał piłkę nożną i był pełen wspomnień z konspiracji. Mówił dalej: — Spotkałem go w końcu powstania i pomyślałem sobie, czyby nie rąbnąć z parabelki. Akurat miałem piękny gnat. Powiada do mnie: „Kolego, jestem całym sercem przy was. Podobno von dem Bach kazał mężczyznom wychodzić z Warszawy. Wy jak?”

Roześmiał się i podrzucił raketę w rękę. Drugi w blezerze obejrzał się za tamtym. Auto minęło budkę, podjechało do skrzyżowania i zatrzymało się z pi-

skiem hamulców. Redaktor wyglądał przez okienko, niewyspany, zmęczony i zły. Policjant odwrócił się sztywno na okrągłym piedestale i opuścił dłoń. Pierwszy woźnica zaciął konia i furmanki ruszyły przez skrzyżowanie.

— Masz go znowu w pierwszej linii — rzekł blezer, wypluwając pestki czereśni. — Trzyma krok w marszu do socjalizmu. Dwa tygodnie siedział z szoferem w Zakopanem, codziennie jeździł kolejką na Kasprowy, bo tam sznycle są najlepsze. Masz pojęcie!

— Zakopane to burdel — rzekł lekceważąco pomarańczowa koszula. Zamachnął się rakieta, próbując backhandu, i dodał: — A pamiętasz, co pisał o Amerykanach? „Literatura amerykańska sieje pornografię i propaguje imperializm, o czym się będziemy mogli sami niedługo przekonać, gdyż wydawnictwa przystępują do masowych przekładów“.

— Każdy robi kulturę i pieniądze, jak umie — powiedział filozoficznie blezer.

Doszli do skrzyżowania i stanęli, czekając, aż przejadą furmanki. Na rogu ulicy robotnicy podkopywali bunkier niemiecki. Za bunkrem na podwórzu spalonej kamienicy rozłożył się magazyn firmy budowlanej. Furmanki z cegłą wjeżdżały w otwartą bramę.

— Piekielny żar — mruknął blezer. — Ogień z nieba. Wiesz, tutaj była pierwsza łapanka w czterdziestym. Mego kumpla zagarnęli, szedł zdawać maturę na kompletach. Zdał, ale już po wojnie. Na matematyce jest.

— Ja kiedyś omijałem z chłopakami łapankę na Żoliborzu — rzekł pomarańczowa koszula i rozejrzawszy się usiadł na kupie kamieni. — Poczekamy, póki

kobylarze nie przejdą. No, i wyszliśmy aż na Wisłę — i brzegiem, brzegiem na Bielany, do lasku. Mieliliśmy piłkę, odwaliliśmy trzy mecze do wieczora.

— Między drzewami? — spytał z powątpiewaniem blezer.

— A coś ty myślał! — zaśmiał się z dumą pomarańczowa koszula.

Redaktor niecierpliwie wychylił się przez okienko. Szofer spokojnie odchylił głowę na oparcie i mrużąc oczy przed słońcem, przyglądał się ulicy.

Blezer usiadł z rezygnacją koło pomarańczowej koszuli i wyciągnął z teczki tygodnik angielski. Trzy piękne, roześmiane kobiety, tancerki z nowego filmu wielkiej Anny Neagle, tańczyły na błyszczącym parkiecie porywającego kankana. Powiewały zalotnie wachlarzami z czarnych piór i podnosiły wysoko nóżki, odsłaniając obfite koronki i smukłe uda, przewiązane czarną podwiązką.

— Ależ nóżki! — rzekł smakowicie pomarańczowa koszula i potrząsnął rakieta.

— A co tam musi być w środku! — roześmiał się blezer i rozłożył tygodnik. Nie zwracając uwagi na ogłoszenie wstążek „Bandbox“, reklamę pudru „Pond“, pasty do zębów „Ipana“, okularów Horlicka, płynu „Zam-Buk“, pasty Phillipsa, maszynek do włosów „Amami“, pantofli „Dunlop“, kremu „Skin Deep“, mydła „Sunlight“, rękawiczek „Dent“, tapet Sander-sona, plażówek Jantzena, samolotów „Aer Lingus“, kuponów „National Savings“ — zagłębił się w raporcie ilustrowanym „Plantator w obliczu terroru na Malajach“. Plantator, mężczyzna o suchej, złej i zaciętej twarzy człowieka, który zwykł rozkazywać i ka-

rać za nieposłuszeństwo, odpoczywał w willi po dniu znoej pracy. Pokój willi był obszerny, miał jasne i szerokie okna, za którymi pleniły się bujne kwiaty i rozpościerała się dżungla. Plantator założył nogi na mahoniowy stolik, na którym stała lampa z barwnym kloszem, i czytał gazetę. Pod głowę położył sobie wzorzystą poduszkę. Obok niego stał na podłodze karabin maszynowy i leżał gotowy do zabrania plecak. „Konwencjonalne zdjęcie brytyjskiego plantatora na Dalekim Wschodzie — lecz trochę inne“ tłumaczył dosłownie blezer. Nie znał dobrze angielskiego, nauczył się języka z gazet. „Jego dzień pracy skończył się już. Słońce zaszło, więc czas odpocząć. Lecz przy nim zamiast tradycyjnej whisky z sodą stoi karabin maszynowy Bren. Na zewnątrz wartownik malajski pilnuje go przed bandytami. Pan A. S. Taylor, właściciel plantacji kauczukowej o obszarze 1866 akrów, korzysta z kilku chwil wytchnienia od grożącego niebezpieczeństwa napadu bandytów komunistycznych. Był uwięziony przez Japończyków przez prawie trzy lata. Na takich ludziach opiera się panowanie Wielkiej Brytanii na Malajach“.

To powinno się skończyć, pomyślał pomarańczowa koszula. Tom poety wychodzi w trzech tysiącach nakładu; w ciągu roku sprzedaje się pięćset egzemplarzy. Honoraria płacą regularnie, lecz co z tego? Stajemy się poetami salonu i narzekamy na analfabetyzm i brak kultury. Awangarda była poezją dla dwunastu, ale nigdy dwunastu ludzi nie czytało na raz „Razu“ Peipera. Poeta zamienia się w pustelnika. Do cholery, nie jestem eremita! Muszę się zacząć uczyć od nowa. Sonety Haushofera są bardziej prze-

mujące niż KZ-Berichty, wiersze Mao-Tse-Tunga nosi każdy żołnierz chiński w plecaku. Eh, gdyby tak Polacy nosili Pomarańczową Koszulę!

— Piekielny żar — powiedział ze zmęczeniem pomarańczowa koszula. Poezja, pomyślał, musi być własnością narodu, inaczej nie warto żyć.

— Posuń się w cień — powiedział blezer i odwrócił stronę. Dalsze fotografie opowiadały o dniu plantatora. Plantator z rana przygląda się bacznie, aczkolwiek dobrotliwie, małej chińskiej dziewczynce w chustce, nacinającej drzewo kauczukowe. „Z niego — głosił podpis — popłynie mleczna guma, zwana latex. Dozorując robotników plantator część uwagi poświęca dżungli, ścielącej się za jego plecami, z której w każdej chwili mogą wypaść bandyci“. Plantator przygląda się nosicielom gumy pracującym pod dozorem uzbrojonego żołnierza, plantator przygląda się czyścicielom, plantator waży gumę, plantator przejeżdża Chevroletem przed bunkrem broniącym plantacji. Plantatora pilnuje 32 żołnierzy. Specjalna policja malajska przeszukuje dżunglę, rewiduje przechodniów i mieszkańców, przeprowadza akcje zbrojne, ostrzeliwując artylerią podejrzone strefy dżungli i stepu. Ostatnie trzy zdjęcia pokazywały akcję karną. Żołnierz wywaliwszy nogą drzwi chaty wiejskiej nie znalazł w niej bandytów, więc, co pokazuje mniejsze zdjęcie, chata została podpalona. Ostatnia fotografia przedstawiała ludzi, „którzy zamęcili pokój na Malajach“. Pewien patrol, mówił podpis, natknął się na swoją zwierzynę. Siedmiu bandytów zostało rozstrzelanych i wystawionych na widok publiczny. Położono ich na asfalcie przed kwaterą główną

policji. Byli to młodzi, półnaczy chłopcy o szeroko otwartych ustach.

Ileż to człowiek widział trupów! — pomyślał blezer. — Kiedyś przyniesiono do trupiarni człowieka, który próbował ucieczki z kopalni. Schwytano go i powieszono. Nocą przed powieszeniem człowiek ten wypisał na piersi koślawymi literami: „Koledzy, pomścijcie mnie! Precz z SS! Niech żyje wolność!“ i inne hasła, które zajmowały mu całą, szeroką i odętą pierś i zbiegały na brzuch. Oglądaliśmy go w milczeniu, jak tysiące innych — pomyślał blezer. — Ileż razy człowiek w milczeniu przysięgał!

Pomarańczowa koszula podniósł się z kupy kamieni. Policjant pokazał nad głową dłoń i rażno odwrócił się na okrągłym piedestale. Ostatnia furmanka przejechała przez placyk i potoczyła się ulicą. Auto z redaktorem skręciło w aleję i cicho odjechało.

— Niedługo już mu tego jeżdżenia — mruknął pomarańczowa koszula. — Ma sprawę w kontroli. Wyłeci na zbity pysk. Cholera, kiedy my wyczeszemy ich wszystkich! Dawaj, na drugą stronę!

Blezer przeglądał zdjęcia z nowego filmu Anny Neagle. Anna stała na podwyższeniu, wokół niej tańczyli mężczyźni i kobiety, wabiąc podarunkami i strojami.

Pomarańczowa koszula podbił mu rakieta gazetę i powiedział:

— Przechodzimy! Co tam się stało w gazecie?

— Oh! Cała epoka! — roześmiał się blezer.

Włożył tygodnik do teczki i pędem przebiegł przez jezdnię polykając suchy kurz, który wiatr zakręcił nad ulicą.

## I

Czym się różni lampa rzeczywista od lampy, którą człowiek, zamknąwszy oczy, wyobraża sobie w umyśle? Przede wszystkim tym, że przy niej nie można czytać książki ani cerować pończoch, chyba w dzień. Nie można również przenieść jej z pokoju do pokoju ani podkręcić knota. Do wyprodukowania lampy w umyśle potrzeba mniej wysiłku niż w fabryce. W umyśle plan trzyletni można wykonać przy jednej czarnej i nie czuć w krzyżu zmęczenia.

Tak więc z problemem obu lamp załatwia się rzeczywistość, ale nie filozofia. Zagadnienie jest bardzo trudne i aby je rozwiązać, należy postąpić w następujący sposób:

„Najpierw ustalamy myślowo własności i budowę formalną pewnej lampy nie istniejącej i przeciwstawiamy ją lampie dokładnie takiej samej co do wszystkich jej własności i szczegółów formy, ale już istniejącej“. Kiedy zaś to uczynimy, jeżeli potrafiemy, wtedy okaże się, że „do owej nie istniejącej »lampy« nie dołącza się żadna nowa własność“, tym niemniej jednak różni się ona we wszystkim od lampy, która istnieje. Ale co to znaczy: istnieje?

Fenomenolog polski, profesor Roman Ingarden, z którego ogromnego i w pewnym sensie pomnikowego dzieła *Spór o istnienie świata* (PAU, Kra-



ków, 1947) zaczerpnąłem światło urojonej lampy, bardzo ostrożnie odpowiada na postawione przez siebie pytanie. \* Lampę rzeczywistą różni od lampy pomysłanej „sposób istnienia“, istnienie zaś „przenika jakby wszystko w przedmiocie, ale samo nie jest niczym nowym, żadną częścią, własnością lub momentem formalnym przedmiotu“.

Jak wiemy z doświadczenia, „sposób istnienia“ lampy polega głównie na tym, że służy ona do oświetlenia izb ludzkich. Dopóki płomień pali się równo (mówimy, rzecz zrozumiała, o lampach naftowych), dopóty możemy zastanawiać się nad przedziwnym sposobem jej istnienia, chwalić konstruktorów i robotników, którzy ją wykonali, i czytać *Spór o istnienie świata*. Przykręciwszy dla oszczędności knot możemy rozmyślać, czy rzeczywiście świat pochodzi od czystej świadomości, czy „to, co jest nam dane w doświadczeniu jako otaczający nas świat — w ogóle istnieje“, a nawet określać istotę czystej świadomości, stwórcy świata. Ale kiedy lampa zacznie kopcić i filować — wtedy rozumny człowiek odłoży książkę, zdejmie ostrożnie rozgrzane szkiełko, obetnie nożyczkami knot i wyreguluje płomień, stosując się nieświadomie do wezwania Karola Marxa: „Filozofowie jedynie objaśniali świat, chodzi jednak o to, aby go zmienić“.

## II

„Znacie tę przypowieść: anioł rozkazał Abrahamowi poświęcić swego syna. Należało usłuchać, jeśli

ten, który się zjawiał i powiedział: «Abrahamie, złóż syna na ofiarę Bogu» — był naprawdę aniołem. Ale w tym wypadku każdy człowiek zastanowiłby się najpierw, czy to naprawdę był anioł, a później, czy on sam naprawdę jest Abrahamem. Gdzie szukać dowodów? Pewna obłąkana kobieta, która cierpiała na halucynację, twierdziła, że rozmaici ludzie wydają jej przez telefon rozkazy. »Ale któż to mógł telefonować?« — zapytał lekarz. »Powiedział mi, że jest Bogiem« — odrzekła kobieta. I zaprawdę: jak można jej dowieść, że to nie był Bóg?«

Problem postawił J. P. Sartre, egzystencjalista. Świat jest subiektywny, każdy człowiek stwarza go sobie na nowo, nasze czyny i przekonania są irracjonalne i dowolne i dlatego niedorzecznością jest mówić o sensie świata i o postępie. Człowiek Kartezjusza istniał, ponieważ myślał, człowiek Sartre'a istnieje, ponieważ się boi i nudzi, zamknięty w świecie jak w Tworach.

Ale istnieje, i to jest najważniejsze. Podobnie jak konkretna lampa Ingardena człowiek Sartre'a jest odbitką człowieka „w ogóle“, egzemplarzem „Człowieka“ idealnego. Wszystko inne, Abraham czy wariatka, nie znaczy: „Chociaż nie zawsze można odnaleźć w każdym człowieku tę podstawową własność, którą nazywamy naturą ludzką, to jednak istnieje uniwersalna więź ludzkiego istnienia. Nie jest bynajmniej przypadkiem, że współcześni filozofowie o wiele chętniej wolą mówić o istnieniu człowieka niż o jego naturze. Mówiąc o istnieniu człowieka, mają oni — mniej czy bardziej świadomie — na myśli granice, które *a priori* określają podstawowy

obszar położenia człowieka we wszechświecie. Położenie historyczne człowieka może się zmieniać: człowiek może urodzić się jako niewolnik w społeczeństwie pogańskim, może być feudalnym władcą lub proletariuszem. Lecz tylko konieczność przebywania na świecie, wykonywania pracy i śmierć — są zawsze niezmiennie“.

Narodziny, życie i śmierć — należą do wszystkich ludzi. Za wszystko inne, co ludzi różni: głód i przeżyty, praca i wyzysk, krew i złoto, surowce i dywidendy — człowiek sam ponosi odpowiedzialność, gdyż sam tworzy swój los. Człowiek jest tym, co z siebie uczyni. Niech się nie skarży bezrobotny górnik, głodny kulis, linczowany Murzyn!

Sartre wie, że lampa istnieje. Wie nawet, że lampa filuje. Ale zamiast wkroczyć czynnie w jej życie i obciąć knot, powstrzymuje dłońmi innych, z przerażeniem ogląda sadzę na suficie i woła ze złością do lampy: „Sama sobie jesteś winna, że kopczysz! Przecież istniejesz podobnie jak ja! A popatrz: ja nie kopczę!“

### III

Już wiemy, czym się różni lampa urojona od lampy rzeczywistej. Wiemy również, jak regulować jej działanie. Umiemy udoskonalać lampy. Lampę naftową zastąpiliśmy żarówką elektryczną.

Umiemy również naukowo poznawać świat. Umiemy go naukowo zmieniać. Umiemy jeden jego rodzaj: kapitalizm — zastąpić przez rodzaj inny: socjalizm. Manipulacja taka nazywa się rewolucją. Człowiek,

który nauczył się regulować płomień lampy, z natury rzeczy patrzy na nią optymistycznie. Lubi jej czysty blask. Sartre twierdzi także, że jest optymistą, gdyż zmusza człowieka do spojrzenia w oczy „nagiej“ rzeczywistości: swojemu losowi, wybranemu raz na zawsze, od którego nie uratuje żadna rewolucja (i któremu ona nie zaszkodzi).

Z podobnym optymizmem polski filozof snuje egzystencjonalno-ontologiczne rozważania o lampie jako przedmiocie metafizycznym, wiedząc, że rzeczywisty świat działania i ruchu, wydawców, zecerów, introligatorów i księgarzy oblecze je w postać realnych książek.

Z takim samym optymizmem i z taką samą wiarą w sens świata pewien polski przedsiębiorca w Kanadzie umieścił w prasie następujące ogłoszenie:

„Życzenia Szczęśliwego Nowego Roku zasyla  
Swoim Klientom — Zbigniew Szymański, Walkersville, Zakład Pogrzebowy“.

## I

O sensie i strukturze wszechświata rozprawiali mędracy i poeci, święci i zbrodniarze, agnostycy i realiści, fanatycy i kpiarze. Szerokoplecy Platon nauczał, że świat, jak cień człowieka, jest odbiciem idealnej wieczności. To wzbudziło liczne dysputy między komentatorami jego dialogów. Giordano Bruno sądził, że istnieje wiele planet, na których także żyją ludzie, i że Chrystus na każdą z nich musiał osobno przychodzić, aby człowieka zbawić. To zaprowadziło go na stos inkwizycji. Niezrównany Anatol France dowodził, że wszechświat jest lewą nogą psa, którą on się drapie opędzając się przed pchłami. To zapewniło mu wdzięczny uśmiech pokoleń.

Jedynie nauka, praktyczne przekształcenie świata przez siłę i rozum, może stworzyć prawdziwy, obiektywny obraz świata i wskazać człowiekowi cele do osiągnięcia. „Obiektywizm nauki jest siłą, która jednoczy świat rozdzierany konfliktami. W moim rozumieniu obiektywizm naukowy jest zwyczajem opierania naszych przekonań na podstawie obserwacji i doświadczeń o tyle niezależnych od warunków lokalnych i od temperamentu badacza, o ile jest to możliwe dla człowieka“ — napisał Bertrand Russel w *Historii filozofii zachodniej*; obiektywizm jego logiki matematycznej nie przeszkodził mu w krucja-

cie przeciw komunizmowi. Działalność naukowa nie zjednoczyła świata rozdartego konfliktami: Freud uciekł z Niemiec, Langevin walczył w partyzantce, Bartla rozstrzelano we Lwowie, profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego zamknięto w lagrze; fizyka dała bombę atomową, chemia — cyklon, który truł miliony ludzi. Nauka jest dyrektywą działania, nie tylko opisem, praktyką, nie tylko teorią, nie produktem, lecz żywą częścią życia społecznego. Ważnym jest dla niej nie tylko związek między teorią względności a perturbacjami Merkurego, lecz także związek stałej  $h$  Plancka z wojną w Indonezji, psychoanalizy z faszyzmem, logiki matematycznej Russella z kapitalizmem, Christian Science z epoką imperializmu.

## II

Niemiecki pozytywista i hitlerowiec, mikrofizyk Pascual Jordan, wsławiony przypisaniem wolnej woli elektronom, wydał po upadku faszyzmu książkę (*Verdrängung und Komplementarität*, Hamburg, 1947), w której, posługując się zarówno psychoanalizą jak zdobyczami mikrofizyki, usiłuje uzasadnić tezę, że biorąc rzecz „ściśle pozytywistycznie“ istnieją zjawiska parapsychiczne: duchy, telepatia i metaplazma. Pascual Jordan był człowiekiem odważnym. Kiedy gorliwi fizycy niemieccy żądali stworzenia osobnej, niemieckiej fizyki, *deutschartig schauende Physik*, Jordan wystąpił z protestem: fizyka dawała broń narodowi i tylko to stanowiło o jej położeniu w społeczeństwie. Gdy jednak ta broń wykruszyła

się i zardzewiała na frontach, Jordanowi coraz częściej wydawało się, że świat jest jednym wielkim snem.

„Nic dziwnego — pisze on w zakończeniu swej poprzedniej książki *Fizyka XX stulecia (Die Physik des 20. Jahrhunderts, Braunschweig, 1943)* — że wi-  
zja wszechświata jako kuli ognistej, która eksplodo-  
wała przed dziesięcioma miliardami lat, kusi nas, aby  
zastanović się nad przedziwnym pytaniem Miguela  
de Unamuno, czy przypadkiem cały świat — i my  
wraz z nim — nie jesteśmy tylko snem Boga; czy  
modlitwy i obrzędy nie są niczym innym niż usiłowa-  
niem, aby uspić Boga głębiej; staraniem, aby się nie  
obudził i nie przestał nas śnić.

Kiedy Bóg śpi, dymią krematoria. Miguela de Una-  
muno zaszczuli na śmierć faszyci hiszpańscy, kiedy  
Bogu przyśnił się faszyzm. Ale Pascual Jordan żyje  
i nie odczuwa wyrzutów sumienia, że był faszystą.

### III

Co młody inteligent w kraju kapitalistycznym po-  
winien wiedzieć o otaczającym go świecie? Sokrates  
dla półinteligentów, dr C. E. M. Joad, dziekan Wy-  
działu Filozoficznego Birkbeck College na Uniwersy-  
tecie Londyńskim, napisał dla niego *Przewodnik po  
myśli współczesnej*, którego znaczną część poświę-  
cił nienormalnym zjawiskom psychicznym: strachom,  
mediom i seansom spirytystycznym.

Dwie panienki angielskie — opowiada dr Joad —  
Miss Moberly i Miss Jourdain zwiedzały w sierpniu

1901 roku pałac Trianon w Wersalu. I, o dziwo! Pan-ny spotkały tam ludzi ubranych w osiemnasto-wieczne stroje, widziały szumiące drzewa, po których zostały jedynie pnie, rozmawiały z ogrodnikiem przy altance, która zachowała się tylko na starych szty-chach, a nawet opisały szczegółowo pewną damę dworską, która — jak wykazały potem uczone docie-kania — mogła być jedynie Marią Antoniną. Niejaki pan Dunne zaś spostrzegł, że miewa prorocze sny. Wypracował sobie metodę notowania snów natych-miast po przebudzeniu, oddzielając elementy prze-szłości od wróżb przyszłości. Ankieta, którą przepro-wadził wśród swoich przyjaciół, dowiodła, że każdy człowiek posiada tę zdolność. Co więcej, okazało się, że każdy człowiek żyje w snach drugiego człowieka, które mówią o przyszłych doświadczeniach człowie-ka śnionego. Na podstawie tych przeżyć oraz z po-mocą matematyki pan Dunne opracował naukową teorię czasu. Przyszłość istnieje już dziś, lecz w pod-róży przez czas, zwracając uwagę na teraźniejszość, nie potrafimy dostrzec przyszłości. Idziemy w przy-szłość jak człowiek, który wstępuje tyłem na schody i widzi tylko stopnie, które przekroczył. Ta teoria nazywa się „serializm“. Natomiast teoria starego im-perialisty, marszałka Jana Christiana Smutsa, nazy-wa się „holizm“. Sędziwy marszałek twierdzi, że ewo-lucja biologiczna polega na stapianiu się jednostek w organiczne całości, tworzeniu coraz większych or-ganizmów. Już nie nogą psa, ale całym psem.

O przeżyciach starych panien Moberly i Jourdain, o serializmie i holizmie młody inteligent będzie wie-dział mnóstwo ciekawych rzeczy. Ale o konfliktach



i dążeniach naszej epoki młody Anglik niczego się nie dowie z tej książki dra Joada. Na pytanie: „Czy istnieją duchy?“ młody Anglik odpowie bez wahania: „Istnieją“ i na dowód przytoczy kilka interesujących teorii. Ale na pytanie: „Czy istniał faszyzm?“ — czytelnik książki doktora C. E. M. Joada nie będzie umiał dać odpowiedzi. W książce doktora Joada nie ma ani słowa o faszyzmie.

Doktor C. E. M. Joad nie pisze nawet, że faszyzm w ciągu kilku lat wyprodukował wiele milionów duchów.

#### IV

Co rozstrzyga o życiu i śmierci człowieka: rzeczywistość społeczna epoki, czy psychika jednostki, pomyślał dawny uczeń, a zarazem przyjaciel profesora, i zagryzając nerwowo wargę odszedł od okna. W bramie uniwersytetu stanęli dwaj cywile w skórzanych kurtkach i rozmawiali z woźnym. Ulicą przelewały się ciężarówki z wojskiem, szły hucząc czołgi i armaty. Profesor powiedział mieszając herbatę:

— Nie, mój chłopcze, nie ma mowy, żebyś tutaj został. Jesteśmy przy froncie, nie umiałbym zresztą nadużyć zaufania narodu. Dowodziłem kompanią w siedemnastym roku.

— To już nie ma znaczenia, profesorze — powiedział dawny uczeń. Wystarczy teraz spokojnie czekać, drugiej bramy nie ma, pomyślał.

— Wracając więc do dyskusji — powiedział profesor z ożywieniem — ja sądzę, że nie marksizm ma rację, lecz psychoanaliza! Trzeba zbadać duszę czło-

wieka! I leczyć! Dusza człowiecza, pamiętasz, mówił stary Heraklit...

Dawny uczeń wzruszył ramionami i powiedział ze znużeniem:

— Zmieniamy tę duszę od dwunastu lat, profesore. Zbudowała ona autostrady i doszła do Wołgi, a teraz niszczy mosty i cofa się nad Łabę.

— Mówimy o nauce, nie o wojnie — rzekł łagodnie profesor. — Kiedy zaczynałem praktykować w Wiedniu, lecząc nerwice, państwo, nauka, obyczaje i religia pokrywały milczeniem instynkty seksualne człowieka. Spychano je w podświadomość jak w bagno. Odkopałem prawdę o człowieku. Całe swoje życie poświęciłem prawdzie i medycynie.

— Ci młodzi chłopcy powinni się uczyć — rzekł dawny uczeń i wskazał dłonią za okno. Dachy miasteczka ozdobione były drewnianymi wieżyczkami artylerii przeciwlotniczej. Chłopcy łazili leniwym krokiem po wieżyczkach i pilnowali nieba. Profesor wstał od biurka, wyprostował nogi i przeciągnął się z westchnieniem:

— Mój drogi chłopcze — powiedział — postępowaniem człowieka kierują potężne, ukryte w podświadomości pierwotne instynkty seksualne, które człowiek, żyjąc w społeczeństwie, musi łagodzić przez sublimację, spożytkowując ich energię w działalności dozwolonej przez społeczeństwo. Przekraczając zakazy — człowiek musi zginąć. Nikt mu nie będzie mógł pomóc. Pełnym życiem żyje tylko ten, kto wypełnia jego nakazy. Czy nam wiadomo, jaką rozkosz przeżywają teraz ci chłopcy? Jakie kompleksy znikają na zawsze z ich podświadomości?

— Zginą wraz ze swoją podświadomością, kompleksami i rozkoszą — mruknął dawny uczeń i znowu stanął przy oknie. Dwaj mężczyźni w skórzanych kurtkach palili w bramie papierosy.

Profesor uśmiechnął się serdecznie i potrząsnął młodego przyjaciela za ramiona:

— *Non omnis moriar*, mój drogi, *non omnis!* Naród będzie żył, społeczeństwo będzie istniało, kultura będzie kwitła! Czymże są dzieje kultury? To dzieje społeczeństwa, które ustanawia zakazy i tabu religijne, uświęca przywódców i czci pomniki chwały narodowej. My dwaj tutaj i ci młodzi chłopcy na dachy, i ci żołnierze, którzy jadą na front, i ci mężczyźni, którzy rozglądają się po dziedzińcu — stoimy w ogniu walki o nowy seksualny porządek świata i nową moralność płciową. Jesteśmy świadkami zarzartej, płynącej z nienawiści do ojców, walki rewolucjonistów z państwową i społeczną tradycją, ucieleśnioną początkowo we własnym ojcu rewolucjonisty. Nasza żądza pieniędzy, nasza obawa przed rozrzutnością, która uszczupła majątek — to przecież tylko ukryte formy analnej erotyki dziecka! Nasza troska o los świata, pragnienie zgłębienia przyczyn i skutków — to tylko rodzaj ciekawości erotycznej, która hamowana strachem seksualnym cofa się przed osiągnięciem właściwego celu. Czymże jest, mój drogi chłopcze, nabożny kult madonn i świętych jak nie żywą miłością do matki? Czyż miłość ojczyzny nie jest ucieczką od własnego Ja? Cóż to jest dzieło sztuki? Popęd erotyczny znajduje w nim pełne zaspokojenie, które w formie naturalnej dane jest je-

dynie rodzącej kobiecie: dziecko, tworzenie. Pierwotne instynkty — oto kultura, mój chłopcze.

— Czy głód jest pierwotnym instynktem człowieka? — zapytał dawny uczeń.

— Naturalnie, że jest! — powiedział profesor. — Ale głód nie tworzy kultury, gdyż nie można go sublimować.

— Ale czasem człowieka trzeba nakarmić — powiedział dawny uczeń.

— Toteż ludzie zazwyczaj jedzą — rzekł z poślizgiwym uśmiechem profesor.

— A jeśli ustrój opiera się na nędzy człowieka, co wtedy, profesorze?

— Kiedy dysputuje się z młodymi ludźmi, zawsze wiadomo, co powiedzą — powiedział profesor i zatarł z żartobliwym zadowoleniem dłoń. — Ja sądzę, że walka o byt powoduje narastanie kompleksu niższości u człowieka. W takiej cywilizacji, w której jeden człowiek jest wrogiem drugiego — a taką cywilizację tworzy cały nasz system przemysłowy, choć nasz naród starał się to zmienić — demoralizacja i zbrodnia następują nieodwołalnie; są to wraz z głodem uboczne produkty walki o byt.

— Trzeba walczyć z taką formą cywilizacji — powiedział dawny uczeń. Znowu stanął przy oknie. Dwaj mężczyźni w skórzanych kurtkach rozmawiali z pasażerami małego samochodziku, który przystanął przy bramie. Potem nie śpiesząc się ruszyli przez dziedziniec między nagimi kasztanami. „Zdaje się, że nie trzeba będzie długo czekać“, pomyślał z bezradną goryczą.

— Nie mówimy o walce, mówimy o nauce — zwrócił mu uwagę profesor. — Ja sądzę, że aby ograniczyć i zniszczyć tę demoralizację, należy ustanowić na uniwersytetach katedry pedagogiki leczniczej. Wie pan! — Zerwał się podniecony i szybkim krokiem przeszedł się po gabinecie. — To znakomita myśl!

— To już nie ma znaczenia, profesorze — powiedział dawny uczeń.

Na schodach rozległy się głuche kroki i zastukano do drzwi.

Do gabinetu weszli przez seminarium dwaj mężczyźni w skórzanych kurtkach i na widok młodego człowieka uśmiechnęli się szeroko.

— Nareszcie! — rzekł pierwszy. — Naszukaliśmy się po całym mieście!

Drugi mrugnął znacząco brwią. Dawny uczeń posłusznie włożył płaszcz i skierował się do drzwi.

— Co się stało? — rzekł zaskoczony profesor i przetarł z zakłopotaniem okulary.

— Dezerter — rzekł krótko człowiek w kurtce.

— No, widzicie, moi panowie! — zawołał ze zdziwieniem profesor. — Rozmawiałem z nim przez godzinę i niczego się nie domyślałem!

— Domyśli się pan na policji — rzekł pierwszy cywil z ukrytą pogroźką w głosie.

— *Raus*, drogi profesorze! — krzyknął przyjaźnie drugi.

Wyprowadzili ich zgodnie z gabinetu, powiedli przez dziedziniec do samochodziku i zawieźli do więzienia. Młody przyjaciel i dawny uczeń profesora został po krótkim sądzie rozstrzelany, profesora wrzu-

cono do celi, gdzie powoli chudł z głodu. Ledwo żyjącego wyciągnęły z podziemia sanitariuszki radzieckie i napiły gorącym mlekiem jak czułe matki. Umyty i schludnie przyodziany wyszedł profesor na ulice zalane słońcem i podążył do domu, brnąc przez dymiące gruzy i omijając leje pełne zielonkawej, trupio cuchnącej cieczy. Ale dom jego spalił się, żonę zabiła bomba, tylko trawnik zielenił się przed domem. Profesor udał się więc do uniwersytetu i stanął na pustym i wymarłym dziedzińcu, zasłanym szkłem i gałęziami. Postrzępione przez pociski kasztany obsypane były kwieciami, trawniki pachniały wiosenną zielenią. Wszędzie były ruiny i zieleń.

W korytarzu rektoratu profesor natknął się na dziekana, wychudłego, bladego, ale radosnego. Uściśnęli się ze łzami w oczach i profesor powiedział:

— Tyle przeżyłem, drogi kolego!

— To było straszne! — potwierdził dziekan. — Dwanaście lat! Nowe średniowiecze! I nas zmuszono do współpracy! No, ale teraz trzeba nam się brać do dzieła, tworzyć nowy, prawdziwy świat! Pan wie, że mianowano mnie rektorem?

— Mam dla pana propozycję, rektorze — powiedział profesor złożywszy gratulacje. — Myślałem o niej długo w więzieniu. Pragnę objąć katedrę pedagogiki leczniczej. Winienem to mojemu dawnemu uczniowi. Może by nigdy nie zdezerterował.

— Przedstawimy projekt ministrowi oświaty — powiedział rektor. Weszli do rozbitej bombą sali wykładowej, w której pracowali murarze, i zamknęli za sobą drzwi.

Profesorzy rozpoczęli wykłady. Bywalec z Christian Science mówił uchodźcom z Europy o aniołach, czyli dobrych myślach, i o dobrej lokacie złota; wyszedłszy z ukrycia mikrofizyk Jordan wykładał na uniwersytecie UNRRA o biologii kwantowej i o śnionym świecie; niegolony od tygodnia dr C. E. M. Joad wymachując energicznie fajką uzasadniał doktrynę holizmu i liberalizmu; Bertrand Russell, który wrócił właśnie z męczącej propagandowej wycieczki do Berlina, zwierzał się zdolniejszym uczniom i asystentom:

— Z mojej praktyki naukowej wyciągnąłem wniosek, że kosmicznie i przyczynowo rzecz ujmując, wiedza nie jest ważnym czynnikiem we wszechświecie; z mojej podróży wróciłem przekonany, że świat może zbawić przed socjalizmem jedynie bomba atomowa. Oczyma duszy widzę skupione twarze studentów, którzy z upojeniem pochłaniają słowa swoich profesorów. Nasz trudny i piękny świat znowu zamienia się w lewą nogę psa, Pan Bóg znowu zapada w sen i cząsteczki elementarne składają się na cegły krematoriów, widmo komunizmu unosi się nad głowami wraz z metaplazmą i demonami. Za parę lat uczniowie ci rozejdą się do swoich zawodów: jedni do laboratoriów szukać nowych odmian cyklonu, inni pojedą do kolonii na gubernatorów i komisarzy, ci będą handlarzami, tamci generałami — wszyscy zaś zostaną gorliwymi kapłanami, modląc się przez całe życie, aby Pan Bóg dalej śnił o imperializmie.

W małym uniwersyteckim miasteczku stary profesor pedagogiki leczniczej wchodzi ciężkim krokiem

na katedrę i zaczyna wykład sakramentalnym zdaniem:

— Miałem dawniej ucznia, który zdezerterował.

Wzruszenie i wstyd przez chwilę nie pozwalają mu mówić i profesor zakłopotany przeciera okulary. Wtedy studenci również ze wstydem i współczuciem nisko opuszczają głowy na pulpity.



## I

Jak każda działalność ludzka, miłość odzwierciedla przyrodę, społeczeństwo, historię; jest filozofią praktyczną jak ekonomia, strategia i dyplomacja, zamyka w swym wnętrzu nadzieje i pragnienia człowieka, rozstrzyga o jego życiu i śmierci; jest nie tylko kochaniem, lecz również i polityką. Miłując Izoldę Tristan łamał prawa feudalne, wymawiał posłuszeństwo władcy, krewnemu, opiekunowi, na dworze królewskim nie stało dla niego miejsca. Tristan uznawał bezprawie swej miłości, lecz napój miłości odebrał wolę wiernemu feudałowi; miłość ziemską, *fol amor*, poczęła władać człowiekiem. Izolda nigdy nie odczuwała rozterki; naczynie grzechu, wiodła Tristana na pokuszenie. Celtycka opowieść głosi, że Izolda zaczęła rowała Tristana, lecz Tristan nie zdradził króla Marka, męża Izoldy. Gdy przeprowadzał ją przez potok, woda opryskała uda Izoldy. Izolda wyrzekła półgłosem: „O, wodo! Śmielsza jesteś niż najśmielszy z rycerzy!“ Wtedy broniąc rycerskiej swej chwały Tristan naruszył prawa króla Marka. Strzepy celtyckiej opowieści mówią, że król Marek okrutnie mścił się na kochankach, ścigał ich w puszczy i odnalazwszy zamordował własną ręką. Lecz poezja minstrelów śpiewa, że szlachetny król Marek ugiął się przed potęgą miłości Tristana i Izoldy i pozostawił im swo-

bodę, rozwiązując z Tristanem związki lenne. Kochankowie poszli na wygnanie, mając nadzieję, że dobry król Marek przywoła ich kiedyś na dwór. Jednak król Marek był najpierw feudałem, a potem dopiero wujem i mężem. Ustrój zwyciężył serce i kochankowie długie lata bładzili po pustkowiu leśnym.

Kiedy zmienia się ustrój, odmieniają się losy kochanków. Rycerz przedzierzga się w kupca, Izolda staje się niewinną Pamelą. Drukarz Samuel Richardson dzielnie sekundował ubogiej służącej, która z poświęceniem broniła swej cnoty przed podtatusiałym Tristanem, arystokratą, który dybał na nią po pokojach i korytarzach pałacu, przymuszając ją groźbą i siłą do uległości. Biedne, skromne i wymowne dziewczę zwierzało się w wylewnych listach rodzicom, którzy z dala udzielali jej rad, przestroóg i napomnień. Nie mogąc uwieść dziewicy bez skazy, arystokrata pojął ją za żonę. Jakże czułe, łzawe, dyszące wzruszeniem są listy Pamel! Podtatusiały Tristan zamienił się w najdroższego mistrza i nauczyciela. Czerpiąc hojną dłońią ze swego doświadczenia mistrz po nocy poślubnej udzielał Pamel rad o ubiorze kobiecym. Uosobienie cnoty, uczciwości i skromności, biedna Pamela obdarzyła mistrza pięciu synami i dwiema córkami; on zaś prowadził piękne dzieło miłosierdzia, był przykładnym mężem, wiernym przyjacielem, spokojnym i uczynnym sąsiadem, pobłażliwym ojcem, łaskawym panem. Sielanka rozkwitała na żyznym gruncie: była połowa wieku osiemnastego; od stu pięćdziesięciu lat działała Indyjska Kompania Wschodnia, przelewając bogactwo z Indii do Londynu.

Stary Richardson bardziej ufał kobietom niż młody

Goethe. Mała Gretchen nie miała szczęścia, woli i cnoty Pameli, ale też dla jej zdobycia nie wystarczył arystokrata, trzeba było piekła i klejnotów, a napój miłosny stał się napojem nasennym. Szkatułka z klejnotami rozzarzyła miłość Małgorzaty do Henryka Fausta. Pamela zamykała się w pokoju przed prześladowcą, uciekała pod opiekę matrony; Małgorzata, poruszona błaganiem Fausta, który oglądnowszy uprzednio jej dziewiczy pokój i upiwszy się widokiem panińskiego łóżka, mówi z westchnieniem:

„I czyliż choć godziny

Nie będziem mogli spędzić dziś wieczorem,

Pierś w pierś i duszę przelewając w duszę?“

odpowiada z niewinnym westchnieniem:

„Ach! gdybym w domu była sama,

To drzwi dla ciebie stałyby otworem;

Lecz zaraz obok sypia mama

I bardzo na nią zważać muszę,

A ona czujna — niechby się spostrzegła,

To jużbym chyba trupem legła“.

Faust:

„Ej, fraszka. Oto masz flaszczykę;

Wpuść w szklanke matki płynu choć troszczykę,

A sen głęboki ją owładnie“.

Małgorzata:

„Dla ciebie wszystko zrobię snadnie.

Lecz czy jej nie zaszkodzi dawka?“

Zabawne tłumaczenie Ludwika Jenikego uwypukla cynizm dialogu. Lecz sam Goethe nie zostaje w tyle za tłumaczem. Zamiast lęklivego pytania Małgosi: „Lecz czy jej nie zaszkodzi dawka?“, Gretchen ener-

gicznie rzuca: „*Es wird ihr hoffentlich nicht schaden!*“

Teoria była szara, drzewo życia wiecznie zielone, ale wydało zatruty owoc: Goethe podwójnie oszukał Mefistofelesa. Małgorzata wstępuje do nieba; Faust okupuje winy, osuszając bagno i naprawiając finanse księstwa. Faust poszedł do nieba, lecz należał do piekła. Moralność, podzielona na Małgorzatę i bagno --- przestaje w ogóle być moralnością, staje się przywilejem klasowym. Zwycięski kapitalizm, jak to lapidarnie określa Manifest Komunistyczny, zamienił godność ludzką w towar wymienny, ale nie tylko godność, miłość również.

Tristanowie i Faustowie Balzaka i Stendhala poszukują przez kobiety awansu społecznego, świadectwa swej pozycji towarzyskiej, utwierdzenia bogactwa, zaspokojenia namiętności.

Juliana Sorela zamordowało społeczeństwo, ponieważ wzbogacony chłop i księżyk pragnął dzięki kobiecie wśliznąć się do wyższej sfery mieszczaństwa, Amerykanin Griffith morduje kochankę, aby awansować do plutokracji; monsieur Verdoux, skromny urzędnik francuski, rozmiłowany w żonie i dziecku, zakłada po kryzysie 1931 roku prywatne krematoria, pałac w nich swe kolejne, starsze, bogate żony, które dusił podczas nocy poślubnej. W ten sposób nawet sam proces miłości stał się zajęciem zarobkowym. Po drugiej wojnie światowej zademonstrował to pan Claude Marsan.

Pan Claude Marsan, wirtuoz w miłości, stanął w styczniu 1949 roku przed sądem przysięgłych w Hollywood, który nakazał mu powtórzyć przed

oczyna ławników (dziewięciu kobiet i trzech mężczyzn) jego słynny trzygodzinny seans francuskiej techniki miłosnej, z którym pan Claude Marsan objeżdżał Stany Zjednoczone.

„Newsweek“ relacjonuje:

„Zawywszy przenikliwie jak wilk, Marsan używając jako modelu panny Barbary Weir, rozpoczął prelekcję od odegrania na pile utworu tanecznego. »Ciemne oczy«, gdy zaś jury zaczęło parskać ze śmiechu, Marsan, komentując własne poczynania, przystąpił do demonstracji, jak należy spędzać z kobietą pierwsze pół godziny: »Nie powinniśmy używać gestów. Po prostu należy rozmawiać«. Następnie wdał się w bardziej szczegółowe i intymne rozważania, które zakończył ideologicznym aforyzmem: »Lepiej uprawiać miłość raz w tygodniu przez trzy godziny, niż kochać się co dzień w pośpiechu jak businessman«.

## II

„Nie umiem już odróżnić, co jest bardzo straszne, a co jest straszne trochę mniej. Pewnie to straszna rzecz przebywać przez cały tydzień ze zmarłą matką w jednym mieszkaniu, u jej nóg gotować na malutkim piecyku zupę z mąki i połykać tę zupę z tępym apetytem. Pewnie to straszna rzecz stracić jedyne swe dziecko“ — pisała w czterdziestym trzecim roku sanitariuszka Lida do korespondenta wojennego Saszy, człowieka, którego kochała. Sasza pracował w redakcji gazety frontowej, Lida — w szpitalu na jeziorze Ładoga, przy słynnej Drodze Życia. Armia

Radziecka atakowała wzdłuż linii kolejowej Moskwa—Leningrad; słowo „Leningrad“ oznaczało „zwycięstwo“. „Było wśród nas wielu ludzi z Leningradu — pisał Sasza w pamiętniku. — Otrzymywali oni, co prawda rzadko, listy „stamtąd“. Tego wieczoru przyszedł list do Gubina. Położywszy list na kolana, Gubin zaczął czytać z pochyloną głową:

„Żenia umarła i Hala umarła, Mama jeszcze nie umarła, ale na pewno umrze w tych dniach, bo czuje się bardzo źle (Gubin czytał na głos, a jego twarz ścięła się jak zwykle, gdy się podniecał), i czy nie możesz nam przysłać trochę cebuli?“ Pewnego dnia Sasza otrzymał nowe zadanie: reportaże z Leningradu. Przyleciał do Leningradu samolotem i gorączkowo zaczął szukać ukochanej kobiety.

Trzymany w kleszczach głodowej blokady, ostrzeżliwani przez artylerię niemiecką, Leningrad bronił się zaciekle, chociaż co dzień tysiące i dziesiątki tysięcy ludzi ginęły z głodu, mrozu i wyczerpania. Przez zamarznięte jezioro Ładoga szły Drogą Życia do miasta skąpe transporty żywności, opału i leków; szoferzy, nie bacząc na odmrożenia rąk i nóg, pracowali nieprzerwanie; młode dziewczęta tygodniami i miesiącami stały na posterunkach w pustych i wymarłych domach, chroniąc miasto od dywersantów i szpiegów; kobiety wytrwale chodziły do fabryk, produkowały bezcenną broń, dzieliły się kromką chleba i kubkiem gorącej wody, chowały umarłych i zabitych, krzepiły żyjących — broniły miasta i świata przed faszyzmem. Przeżywały miłość i rodziły dzieci, były matkami, żonami, siostrami, ko-

chankami, lecz miłość ich znaczyła co innego niż seans Claude Marsana i panny Barbary Weir.

Literatura naszej epoki dała ludzkości wspinałe obrazy miłości człowieka do człowieka, splecionej z walką o wyzwolenie narodów i klas, o ocalenie szczęścia własnego. Pisarze pieniądza, zohydzając miłość, odbierają człowiekowi wiarę w moralność i sens walki społecznej. Komunista Drover z powieści Grahama Greene *It's Battlefield* zasądzony został na 18 lat więzienia; jego umiłowana żona jeszcze przed wyrokiem zdradza go z jego bratem. Nie dochowa przecież przez 18 lat wierności mężowi; im więc wcześniej go zdradzi, tym lepiej, młodość szybko przemija. Piotr Slavek z *Krucjaty bez krzyża* Köstlera bierze gwałtem kobietę, w której się zadurzył, upaja się miłostką i porzuca ją bezwolnie, jak porzucił komunizm. Oprócz teorii Freuda nic nie zostało się w Piotrze Slavku; chłodnemu, logicznemu rozumowaniu faszysty Bernarda przeciwstawia romantyczny poryw lekkomyślnego chłopca. Piotr Slavek instynktownie czuje, że trzeba walczyć z faszyzmem, ale zdradziwszy komunizm nie uznaje żadnej ideologii. Wyjechał z kraju opromieniony chwałą więźnia Gestapo; wrócił jako angielski szpieg. Nihilizm poszedł na służbę kapitalizmu. Pisarze socjalizmu, uwznioślając miłość, umacniają w człowieku wiarę w słuszność jego walki i poświęcenia. Major Sergiusz nie zdobędzie szczęścia z kobietą, która czeka na niego, walcząc w maquis; zginie w oswobodzonym miasteczku serbskim, niszcząc ukrytego w piwnicy wroga, który strzelał do kobiet i dzieci wyległych na ulice, aby witać żołnierzy radzieckich; bo-

haterska Raisa padnie od przypadkowego pocisku. Lecz śmierć snajperki nie była daremna:

„Kiedy Raisę grzebano, karabin jej uroczyście wręczono snajperowi Kuźniecowski. Zaczął on mówić uroczyście: »Zobowiązuję się bić nienawistnego wroga«... Głos mu się urwał. Kuźniecowski zamrugnął i głosem głuchym, jakby mówiąc do samego siebie, zakończył: »Wielki miała ból — dziecię jej umęczyli. Nigdy tego nie zapomnę«. Podniósł karabin ponad głowę, następnie przybliżył go do ust i z szacunkiem pocałował“.

Partyzantka Mado i żołnierz Osip z *Burzy Erenburga* będą żyli wspomnieniami po poległych przyjaciółach i świadomością zwycięstwa; Lucie Blanchard, mała ekspedientka paryska, kiedy wróci z obozu niemieckiego, życie będzie jak mąż, który zginął na barykadzie paryskiej. Piotr Taraque umarł tak, jak żył. Śmierć jego dopełniła trudne życie chłopca, który wrosł w klasę robotniczą, z trudem zdobył świadomość społeczną, stał się organizatorem rewolucji i ruchu oporu. Miłość Piotra Slavka była praktycznym freudyzmem, miłość Piotra Taraque była moralnością komunisty. Piotr Taraque umiał uratować od śmierci kobietę, którą oszukał jego przyjaciel, syn wielkiego przemysłowca. Miłość jego pomogła Lucie Blanchard wyjść z ciasnego światka pojęć drobnomieszczańskich i wziąć udział w wielkiej walce narodu francuskiego. Arthur Köstler jest zdrajcą ruchu robotniczego, Claude Morgan jest jego płomiennym aktywistą; tak człowiek i dzieło stapiają się w jedną bryłę.

Podobnie jak Lucie Blanchard, Stefanię Kowiak,



młodą absolwentkę uniwersytetu amerykańskiego i żonę twardego działacza komunistycznego, Dave Spaasa, wydzwignęła miłość: z urojonego świata dyskusji akademickich, toczących się wśród ludzi sztucznie izolowanych od życia, weszła w sam wir konfliktów i walk robotników z kapitalistami, oglądała wiece i strajki, czuła głód i poniżenie, poznała policję i detektywów fabrycznych. Jej doświadczenia, wahania i klęski ideowe, jej wielka miłość do męża, który ponad życie spokojnego specjalisty przedkłada obowiązek walki w Hiszpanii o zwycięstwo republiki, w Chicago — o parocentową zwyżkę płac dla robotników kolejowych, na okręcie w konwoju — o zwycięstwo nad faszyzmem — wszystko to stanowi stopnie jej rozwoju i dojrzewania, jej wyzwala się z pęt wrogiej człowiekowi ideologii.

Wydana w ogniu gwałtownej nagonki przeciw Partii Komunistycznej Stanów Zjednoczonych powieść Aleksandra Saxtona o miłości Dave Spaasa i Stefanii Kowiak — obok dzieł Gorkiego, M. A. Nexö, Romain Rollanda, Londona, Dreisera — świadczy raz jeszcze o pięknie miłości ludzkiej naszej epoki. Walcząc o szczęście ludzie odnajdują przyjaciół i wspierają się wzajem. Sergiusz, Raisa, Taraque zginęli, aby mogli żyć Dave i Stefania, Sasza i Lida.

Sasza i Lida spotkali się na froncie Leningradu dwa razy. Widzieli się na krótką chwilę przed odjazdem Saszy na Wielką Ziemię, potem Lida spotkała Saszę, gdy był śmiertelnie ranny. Wielkim wysiłkiem lekarzy Saszę uratowano i odtransportowano na tyły. Kiedy przenoszono rannego do samolotu, Lida podeszła do lotnika. Niespodziewanie dla samej siebie po-

wiedziała: „Proszę was bardzo... Będziecie wieźć człowieka, który dla mnie wiele... Po prostu: proszę was“.

Lotnik spojrział na nią z uwagą i odrzekł: „Bądźcie spokojna. Jesteśmy przecież znajomymi. Będę leciał najgładszą, najprostsza drogą. Pójdzie jak po maśle“. I potem wyciągając do niej ogromną łapę w futrzanej rękawicy dodał przy pożegnaniu:

„No, nic. Wszystko będzie w porządku. Bądźcie szczęśliwi“. Przetrzywał przez mgnienie oka jej dłoń w swojej dłoni i powtórzył: „Bądźcie szczęśliwi“.

To szczęście jest trudne, lecz zasłużone. Wyrosło ono ze zwycięstwa w walce o miłość, która chroni nie tylko kochanego człowieka, ale broni wszystkich ludzi przed zbrodniami naszego wieku: kapitalizmem, wojną, faszyzmem; o miłość, która każdego człowieka uczyni Piotrem Taraque i Sergiuszem, Stefanią i Lidą, a świat uczyni światem socjalizmu.

### III

O, wodo! Śmielsza jesteś niż najśmielszy z rycerzy! Ale dłoń wyciągnięta po pieniądze, jest śmielsza niż rycerz i woda. Raisa, Sergiusz, Piotr i miliony bezimiennych ludzi zginęło broniąc kultury socjalizmu; udzielając płatnych seansów, Claude Marsan broni kultury kapitalizmu. Napój miłosny, krople nasenne zamieniły się w pieniądź. Socjalizm stapia sztukę i kulturę ze szczęściem i zwycięstwem człowieka; kapitalizm jak w bryłę błota zlepia sztukę, kulturę i prostytutkę.

Po sforsowaniu Dniepru major Sergiusz rozmyślał

przy ognisku: „Dlaczego ludzie sądzili, że Zwycięstwo lata? To nieprawda. Nogi Zwycięstwo ma obtarte do krwi, pełza ono przez błoto, śnieg, włazi do dziur. Jest poranione, zmęczone, zmarznięte... Jest raczej podobne do małej telefonistki majora Szylejko. Zdaje się, Waria... Właśnie tak: niewystrojone, a przecież Zwycięstwo. Oto przyszło do saperów, usiadło przy ognisku. Jest mu zimno. A stos dopalał się, pozostało trochę różowego żaru, biednego, człowieczego ciepła...“

Odpowiadając majorowi Sergiuszowi, „Saturday Review of Literature“ podał ogłoszenie tej treści:

„NEUROTICA — Numer Drugi jest gotów. Zawiera: „Psychopata w naszym społeczeństwie“; „Atak na prostytutkę jako atak na kulturę“; „Neurotics, Spółka Akcyjna“. Poezja, proza. Egzemplarz dwa dolary; NEUROTICA, 4438 1/2 Olive St., St. Louis, Mo., U. S. A.“.

## I

Ofensywa Pokoju! Nasz wiek XX jest wiekiem dyskusji między kapitalizmem a socjalizmem. Historyk, Herodot naszych dni, zapamięta wielkie sprawy epoki: mity i marksizm, głód i wolność, wyzysk i godność, pieniądze i rozum; będzie mówił o walce kryzysu przeciw rewolucji, okopu przeciw orce, komór gazowych przeciw traktorom, bomb atomowych przeciw pięciolatkom, ale zapomni o zgiętych plecach ogrodnika i przemilczy samotne przechadzki pisarzy.

Był piękny wiosenny poranek, gdy minąwszy pachnący trawą i deszczem park, w którym ogrodnik pochylał się nad klombem, znalazłem się przed gmachem Ambasady. Odremontowany z gruzów pałac świecił się śnieżnym wapnem. W gablotkach, zawieszonych pod ciemnymi oknami, czerniały zdjęcia ogromnych nadfortec, które obleciały kulę ziemską z pełnym ładunkiem bomb, nabierając benzynę w locie. Na horyzoncie kłębiły się chmury, gumowy wąż, którym szła benzyna z ogona tankowca do ogona nadfortecy, wyginał się od wichru. Drugie zdjęcie pokazywało wzbijanie się odrzutowca, który stawiał słup dymu nad ziemią. Trzecie zdjęcie było fragmentem twarzy młodego pilota, Lieut. Roberta Drew, któremu przy zakręcie siła odśrodkowa gniotła mięśnie policzków i wargi, odsłaniając zaciśnięte kurczowo zęby. Ostat-

nie zdjęcie obejmowało parę tancerzy: pilota i dziewczynę o nagich ramionach, mrużącą rozkosznie oczy. Niżej szły znowu fotografie bombowców. Drzewa zieleniły się w Alejach, splukane nocnym deszczem, wśród drzew czerniły się spalone mury, opięte rusztowaniami. Po asfalcie sunęły bez szmeru trolleybusy i wlokły się furmanki z ceglami, piaskiem i cementem. Wiatr niósł suchy kurz z ruin ulicy Pięknej. Obejrzawszy fotografie wzruszyłem ramionami i poszedłem dalej, mijając rusztowania Alej, na których milczący murarz dyskutował z urzędnikiem amerykańskim: cierpliwie i starannie rzucał kielnią świeżą zaprawę na mur.

Historyku, Herodocie naszego wieku! Nie szukaliśmy rozumu u burżuazji! Burżuazja, przeżywając agonię imperializmu, stojąc oko w oko wobec wspańskiego państwa socjalistycznego, w którym klasa robotnicza włada nie tylko znakomitą organizacją, lecz rozwija również potężne środki produkcji; burżuazja, czując chłód od groźnej fali wyzwolenczej ludów kolonialnych — jest jak słynne trzy małpy, które zamykają oczy, aby nie widzieć, zatykają uszy, aby nie słyszeć, usta, aby nie mówić; burżuazja nie chce zrozumieć sensu ani świata, ani historii.

Burżuazja straciła mózg, ale zachowała żołądek. Przestała traktować świat jako proces historyczny, splot konieczności przyrody i swobodnej, twórczej pracy człowieka, zaczęła traktować go jak kapustę.

Biedna dziczka, skromna brzoskiew — to wielka rzecz! Niezapomniany badacz życia owadów, Jean Henri Fabre, poświęca jej i innym odmianom roślin krzyżowych liryczne westchnienie w swoich słynnych

*Wspomnieniach entomologicznych.* Jednakże uczucie nie stępiło precyzji opisu: socjologiczna konstrukcja losu dziczki jest u Fabre'a bardziej precyzyjna niż dzieje człowieka u polskich realistów. Brzoskiew, dziczka o wysokiej łodydze, marnym ulistnieniu i przykrym smaku, dzięki cierpliwym i umiejętnym ludzkim zabiegom przemieniła swoje liście w ogromną, białą i miękką głowę kapusty ogrodowej, przekształciła swoje kwiaty w mięsiste szypułki kalafiora, w całą rodzinę pączków głowiastych brukselki, twarde i zdrewniały głąb rozrósł się w mięsisty i soczysty brzuszek kalarepy, a korzeń — w brukiew, spęczniałą rzepę, wystającą na poły z ziemi. Historia zapomniała o źródle, z którego czerpały soki te szlachetne, piękne i smaczne rośliny. „Historia nie zajmuje się zgola podobnymi drobiazgami — napisał z melancholią dobry J. H. Fabre — sławi pola bitwy, na których zabijamy się wzajem, ale przemilcza pola uprawy; interesuje się królewskimi bękartami, lecz nie zna pochodzenia pszenicy. Tak chce głupota ludzka“.

O, Herodocie naszego wieku! Człowiek hoduje i uszlachetnia kapustę, kalarepę, brukiew. Przyrządza z nich pachnący kapuśniaczek, rześką sałatę, sławny bigos. Człowiek pracuje sam, nie odginając grzbietu, ale do jedzenia przysiada się również gąsienica bielinka kapustnika, żarłoczny i bezmyślny żołądek, któremu ogromna główka kapusty starcza ledwo na tydzień.

W zupełnym milczeniu hordy gąsienic niszczą kwitnące ogrody, wypasają żyzne połacie ziemi. Nie odrywając szcęk od pokarmu przyglądają się w zupeł-

nym milczeniu, jak czujny ogrodnik schyla się nad rośliną i ocala ją, wybierając gąsienice palcami. Walka toczy się w milczeniu; ale gdyby gąsienice umiały mówić?

## II

Dyskusja wybuchła nagle i ogarnęła cały naukowy świat kapitalizmu, wznecając niepokój, budząc oburzenie i nienawiść. 31 lipca 1948 roku Trofim D. Łysenko, Prezydent Radzieckiej Akademii Nauk Rolniczych im. Lenina, wygłosił na sesji zwyczajnej referat „O sytuacji w biologii“. Refératowi przysłuchiwało się 700 akademików, pracowników instytutów naukowych, profesorów wyższych szkół rolniczych, zakładów biologii, agronomów, zootechników, mechanizatorów, ekonomistów, redaktorów pism specjalnych. Obrady trwały tydzień, ponad 50 mówców oceniało błędy i osiągnięcia biologii współczesnej, w której idealistyczny weismannizm walczył z materialistyczną koncepcją życia. Idealiści, przypisując żywemu ciału jedynie rolę środowiska pokarmowego dla substancji dziedzicznej, uznają substancję dziedziczną za nieśmiertelną, nie tworzącą się nigdy od nowa, rządzącą tym ciałem, ale nie wytwarzaną przezeń, nie podlegającą zasadniczo prawom przemiany materii (procesom redukcji i utleniania), a nawet wyłączoną od działania praw fizycznych. W ten sposób idealizm, łącząc się z koncepcjami Malthusa, stał się orężem burżuazji.

Aby uzasadnić naukowo ucisk klasowy, ideologowie burżuazji wprowadzili do biologii pojęcie walki

konkurencyjnej w obrębie jednego gatunku jako główną przyczynę ewolucji; aby usprawiedliwić głód i nędzę — propagowali pseudonaturalne prawo Malthusa, które „wyraża się w stałym dążeniu wszystkich istot żywych do rozmnażania się szybciej, niż na to pozwalają zapasy pokarmów będące do ich dyspozycji“; aby odebrać nauce jej znaczenie praktyczne, odrywali organizm żywy od świata, który go otacza.

„Zawzięta walka — stwierdził w swoim referacie profesor Łysenko — dzieląca biologów na dwa nieprzejednane obozy zawrzała dokoła od dawna stawianego zagadnienia: czy jakościowe zmiany natury roślinnych i zwierzęcych organizmów zależą od jakości warunków życiowych oddziaływających na żywe ciało, na organizm?“

Idealizm odrzuca tę zależność, materializm ją potwierdza.

Materializm nie oddziela „właściwości dziedziczenia od żywego ciała i jego warunków życiowych. Bez dziedziczności nie ma żywego ciała, bez żywego ciała nie ma dziedziczności. Żywe ciało i jego warunki życia są nierozłączne. Gdy tylko pozbawi się organizm jego warunków życiowych, żywe ciało stanie się martwe“. Ale nauka i praktyka stanowią jedno. I dlatego w dyskusji nad osiągnięciami biologii współczesnej powoływali się akademicy i mechanizatorzy, badacze i praktycy na realne znaczenie teorii naukowych, na odbicie biologii w praktyce rolnictwa. I podczas gdy wybitni idealiści radzieccy strawili życie na badaniu przemian chromosomów u muszek w rejonach Moskwy i dzielnicach Woroneża, zapowiadając długie lata badań nad wpływem wojny na warunki życiowe



much — wielki nauczyciel Łysenki i twórca nowych materialistycznych podstaw biologii, I. W. Miczurin, w ciągu jednego tylko życia ludzkiego stworzył więcej niż 300 nowych odmian roślin przy pomocy selekcji i systematycznego wychowania. Przemiany większe niż dzieje brzoskwi Miczurin potrafił zamknąć w krótki okres życia jednego pokolenia. Stojąc na usługach spółdzielczego gospodarstwa rolnego, agrobiologia radziecka opracowała sposoby podniesienia plonów przez racjonalne płodozmiany łąkowo-polowe, przedsięwziętą uprawę ugorów i ziemli, nasiewnictwo i metody hodowli zwierząt, zakładanie lasów wiatrochronnych, prawidłowe nawodnienie i dostosowanie maszyn rolniczych do rodzaju gleby i roślin. Związana mocno z agrobiologią, biologia radziecka jest nauką praktyczną. „Nauka dlatego nazywa się nauką — przypomniał słowa Stalina akademik S. F. Demidow — że nie uznaje fetyszów, nie obawia się podnieść ręki na wszystkie przeżytki i czujna jest na głosy doświadczenia i pracy“. Zamykając dyskusję o biologii profesor Łysenko na pytanie, jak Partia ocenia jego referat, odpowiedział:

— Centralny Komitet naszej Partii rozpatrzył mój referat i uznał go za słuszny.

### III

Nie przebrzmiały jeszcze oklaski, gdy gąsienice zawrzały śmiertelnym oburzeniem. W reakcyjnych dziennikach, tygodnikach, miesięcznikach, w pismach specjalnych i szmatławcach, w audycjach radiowych

i dyskusjach publicznych — nazwisko Łysenki i imię Miczurina wypowiedane były z nienawiścią i strachem. Zapominając, że w Związku Radzieckim dyskusja o biologii toczyła się od wielu lat i zarówno idealści jak i materialści mogli swobodnie uzasadniać teoretycznie i praktycznie swoje poglądy i że zwycięstwo materializmu jest zwycięstwem i praktyki, i teorii — kapitalistyczni uczeni i pisarze, dziennikarze i księża, gospodynie wiejskie i lordowie zakładali w rozprawach i kazaniach, w przemówieniach i listach do redakcji protesty przeciw Łysence. Przedstawiano demokrację zachodnią, gdzie uczoney może robić, co chce, dyscyplinie socjalistycznej, gdzie uczoney związany jest z życiem i potrzebami narodu.

Jednakże dyskusja o idealizmie w biologii zmobilizowała również po stronie socjalizmu wielu uczonych Zachodu. „Czyżby demokracje zachodnie były ideałem? — zapytuje czytelnik angielskiego tygodnika. — Kilka lat temu w Stanach Zjednoczonych wielu profesorów i nauczycieli zostało zdymisjonowanych tylko dlatego, że wyrażali liberalne poglądy na sprawę Murzynów, robotników, etc. Jako starszy przykład może służyć biolog J. T. Scopes, który został skazany sądownie w 1925 roku za zbrodnię nauczania o ewolucji. Jeżeli sprawa ta wydaje się zamierzchną, to warto by dodać, że do dziś dnia nie wolno nauczać o ewolucji w stanie Tennessee!”

Stary Bernard Shaw:

— Jest rzeczą samą przez się zrozumiałą, że żadne państwo nie może tolerować teorii fatalistycznych, a tym bardziej nie może ich tolerować państwo socjalistyczne, którego każdy obywatel powinien dążyć

do tego, aby świat przekształcić, aby go celowo i świadomie ulepszać; w którym żaden kryminalista czy reakcjonista nie może się zasłaniać twierdzeniem, że nie odpowiada za pobudki swoich czynów, gdyż zależą one od przyrody i zostały ustanowione przed początkiem świata. Czy uczeni mogą żądać bezkarności wobec prawa w swojej praktyce naukowej? Czy państwo powinno w interesie ogółu kontrolować działalność naukową, jak to czyni z innymi dziedzinami działalności ludzkiej? Na moje stare pytanie: „Czy człowiek może ugotować swoją matkę, aby zbadać, w jakiej temperaturze wody umiera stara kobieta?“ — policja odpowiada skutecznie za pomocą szubienicy. Na pytanie Łysenki: „Czy państwo powinno tolerować naukę, która każdego człowieka czyni nieodpowiedzialnym wytworem sił przyrody?“ — należy po prostu odpowiedzieć: Nie!

Dzielny, kochany stary G. B. S.! Oby żył nam jeszcze sto lat!

#### IV

Jean Henri Fabre opowiada w swych czarujących szkicach, że za czasów Pliniusza ogrodnicy walczyli z plagą gąsienic kapustnika, wtykając w środku ogrodu pal z czaszką końską na wierzchu. „Dziś — uśmiecha się Fabre — zastąpiono czaszkę końską skorupą jaja, którą zatyka się na kij stojący w kapuście. To nawet łatwiejsze, a skuteczność jest całkiem ta sama, czyli równa zeru“.

Dopóki nauka jest półprywatnym zainteresowaniem uczonych zamkniętych w gabinetach, dopóki

kształci fachowców kapitalizmu, póty niebezpieczeństwo, że świat będzie poznany i naukowo zmieniony, jest niewielkie. Ale gdy nauka dostaje się w ręce postępowych sił społecznych, w ręce świadomych ogrodników — wtedy biada gąsienicom! Świat — ta piękna, słodka kapusta zmieniana umiejętnym zabiegiem ogrodnika — staje się coraz smaczniejszy. Gąsienice są coraz żarłoczniejsze, apetyt przychodzi w miarę jedzenia, ale ogrodnik coraz skuteczniej uczy się z nimi walczyć.

Niebawem zazielenią się pędy młodych lasów, które suche stepy nadwołżańskie zamienią w najżyźniejsze ziemie świata. Niebawem pierwsze traktory ruszą na nieogarnionych równinach ziemi chińskiej. Dojrzeje agrest pod biegunem, tuczą się gęsi i barany, rośnie zboże na wojennych ugorach, wznoszą się zniszczone miasta, trwa walka wyzwolenicza w bogatych krajach kolonialnych, każde drzewo jest drzewem pokoju. Ogródnik w parku prostując grzbiet nie wie może, że jest żołnierzem ofensywy pokoju. Ale idąc w cień rozłożystego drzewa, które on sadził, ty go przypomnij wiekom, Herodocie!

## I

Na długo przed Kopernikiem Jozue wstrzymał słońce dla celów wojennych. Użył je jako wielki reflektor, aby oświetlić pole bitwy. Zwyciężywszy pięciu królów, skorzystał z długiego dnia, rzucił się za nimi w pościg, pojmał ich w niewolę, torturował i „pomordował je i zawiesił je na pięci drzewach, a wiśieli na drzewach aż do wieczora“, za czym ruszył zdobywać i palić miasta wroga. Bóg Izraela wchodził na ołtarze pogan. Kiedy Kopernik wstrzymał słońce, na ołtarze objawienia wchodził zwycięski rozum. Kopernikańska teoria obrotu ciał niebieskich podzieliła świat chrześcijański na wrogie obozy: korzystając z długiego dnia, kapitalizm zwyciężał feudałów, zwał hierarchie i autorytety.

W marcu 1616 roku Kongregacja Indeksu Ksiąg Zabronionych pracująca pod osobistym kierownictwem Papieża wydała wyrok potępienia na doktrynę Kopernika. W roku 1633 potępiono *Dialogi* Galileusza:

„Ponieważ ty, Galileuszu, siedemdziesięcioletni synu zmarłego Vinzenzo Galileo z Florencji, zostałeś wskazany Świętemu Urzędowi, jako iż utrzymujesz fałszywą naukę, szerzoną przez wielu, twierdząc, że słońce stoi nieruchomo w pośrodku świata i że ziemia się porusza, a także obraca; iż nauczasz uczniów tej nauki; iż na dowody przedstawiane z Pisma

Świętego odpowiadasz w sposób sobie wygodny, tłumacząc rzeczne Pismo według własnego mniemania — przeto Urząd Święty... etc.

Mniemanie, że słońce jest niewzruszonym środkiem świata, jest filozoficznie niedorzeczne, fałszywe i heretyckie, ponieważ kłóci się wymownie z Pismem Świętym.

Mniemanie, że nieporuszona ziemia nie jest środkiem świata, lecz że się porusza i obraca, jest również niedorzeczne filozoficznie i fałszywe, a teologicznie co najmniej zwodnicze w wierze“.

Galileusz na kolanach musiał odwołać swą naukę, Urząd Święty zaś ustalił raz na zawsze formułę, która potępiała wszelkie księgi utrzymujące, że ziemia się porusza, a słońce stoi nieruchomo, *libri omnes docentes mobilitatem terrae et immobilitatem solis*.

Dopiero w roku 1822 skreślono Kopernika z Indexu. Jeszcze młody Mickiewicz popełniał grzech śmiertelny. W *Odzie* wołał bluźnierczo: „Dalej z posad, bryło świata!“

## II

Wdzięczne pokolenia przechowały pamięć o tym niezłomnym starcu, który oddał życie w służbę nauki, był bohaterem i męczennikiem. Czy jednak można mówić o męczeńskiej śmierci w obronie prawdy naukowej?

Zmarły ks. Konstanty Michalski rozważa to zawile zagadnienie w swojej rozprawie *Między heroizmem a bestialstwem* (Wydawnictwo Mariackie,

Kraków, 1949) i jako przykład podaje sprawę Kopernika i Galileusza:

„Wiele gorzkich słów powiedziano przeciwko Kościołowi, pisząc o obydwu wielkich myślicielach, nie przypuszczając nawet na chwilę, że zasadniczo zajęą się podobnym zagadnieniem św. Tomasz z Akwinu, mówiąc o męczeństwie (*Summa Teologiczna*, II, II, c. 124). Pyta się bowiem, czy można mówić o męczennikach, którzy stanęli w obronie geometrii. Odpowiedź jest prosta, ale sięga do Boga jako najwyższego gwaranta prawdy. Jeżeli ktoś stanie wobec tego zagadnienia, uprzytomniając sobie, że chodzi o prawdę lub kłamstwo, że przez afirmację prawdy oddaje się kult Bogu jako najwyższej Prawdzie, a przez kłamstwo staje się w poprzek temu kultowi, to jego śmierć w obronie prawdy będzie aktem męczeństwa. Wiadomo, że Galileusz był człowiekiem głęboko wierzącym i rozumiał dobrze stosunek każdej prawdy do Boga. Jeżeli więc ktoś jeszcze dzisiaj chciałby lżyć Kościół stając po stronie Galileusza, to niech zechce wpieryw przeczytać odnośny artykuł z podanego przez nas miejsca w *Sumie Teologicznej*, a zobaczymy, że św. Tomasz stanąłby po stronie Kościoła i Galileusza“.

Święty Tomasz pozwolił, Urząd Święty zabronił, Galileusz odwołał, Bogu cześć oddano. Można być męczennikiem broniąc geometrii, ale kto męczy człowieka za geometrię? „Indeks Ksiąg Zabronionych przez Kościół“ jest Panteonem myśli człowieka. „Indeks Leona XIII“ mieścił 7.200 autorów, „Indeks Piusa XI“ z roku 1930 potępił prawie 8.000 uczonych, poetów i myślicieli; oto niektórzy:

Dante, Leibniz, Grotius, Gautier, Defoe, Sterne, Milton, Kartezjusz, Auguste Comte, Flaubert, Anatole France, Heine, Kant, Lamartine, Locke, J. S. Mill, Maeterlinck, Pascal, Voltaire, Th. Paine, Rousseau, Renan, George Sand, Stendhal, Zola, Spinoza, Swedenborg, Hipolit Taine, Bergson, Bacon, Samuel Richardson, Victor Hugo.

Walka o prawdę naukową nie jest aktem chwały Boga, lecz aktem walki o wolność człowieka przeciw przyrodzie i niewolnictwu. Poznanie świata w ustroju sprawiedliwym staje się potężnym narzędziem szczęścia ludzi; tylko ustrój niewolniczy nienawidzi nauki. Nauka wyzwala człowieka; niewolnik musi wierzyć w mit. Stając po stronie Galileusza przeczymy dogmatowi i mitom; wybierając dogmat i mit — lżymy Galileusza; *tertium non datur*.

### III

Dyskusja o Galileuszu, wznowiona w niektórych tygodnikach Zachodu, jest swoistym uczczeniem 70 rocznicy urodzin Alberta Einsteina. W niemieckim miesięczniku „Ost und West“ przypomniano słowa Einsteina sprzed dwudziestu lat, kiedy żądał on ograniczenia zbrojeń, uzgodnienia zobowiązań traktatowych i znalezienia uczciwego stosunku do Związku Rad, aby „kraj ten, uwolniony od nacisku z zewnątrz, mógł się rozwijać bez przeszkód“; podczas Kongresu Pokoju w Nowym Jorku „Life“ umieścił Einsteina na czele galerii „super-frajerów“ pokoju wraz z Tomaszem Mannem, Charles Chaplinem, Har-



low Shapley'em, Jo Davidsonem, Dorotheą Parker, Langstonem Hughes i innymi uczonymi i pisarzami; Bertrand Russell z uśmiechem ironii oświadczył, że chociaż Einstein współpracuje z innymi uczonymi amerykańskimi, którzy pragną ustanowienia kontroli międzynarodowej nad energią atomową, to „jednak problem ten jest niestety trudniejszy niż teoria względności“.

Natomiast uczony fizyk, Witold Rybczyński, w filozoficznym artykule *Renesans stanowiska człowieka we Wszechświecie* („Tygodnik Powszechny“, nr 213—214, 1949) powołując się na Einsteina, uśmierca Galileusza. „Gdy wypowiadamy zdania: »Ziemia kręci się względem wszechświata dokoła osi« albo »Ziemia kręci się względem Wszechświata dokoła osi przechodzącej przez jej bieguny«, opisujemy jeden i ten sam fakt, a żadne zjawisko fizyczne nie przechyli szali na stronę jednego z tych sądów“. Poznawanie prawdy jest działalnością społeczną. Nauka nie tylko kontempluje prawdę, nauka zmienia życie. Poznawanie prawdy nie jest bierną, lecz czynną postawą wobec życia. W nauce, jak w każdej najbliższej działalności ludzkiej, odbijają się jak w zwierciadle konflikty epoki, szlachetna walka człowieka o wolność i chleb. I tylko ona trwa przez pokolenia.

Pokolenia nie zapamiętały wyroku Świętego Urzędu, że zabronione są *libri omnes docentes mobilitatem terrae et immobilitatem solis*, księgi wszelkie utrzymujące, że słońce stoi nieruchomo, a ziemia się porusza.

Pokolenia zapamiętały i z dumą powstarzają okrzyk Galileusza: „A jednak się porusza; *eppur si muove!*”

#### IV

Żegluj, Ziemi, po szlakach Wszechświata, wielka, piękna, wspaniała Ziemi! Nigdy nie byłaś ojczyzną tyranów i inkwizytorów.

Byłaś zawsze Ziemią Koperników, Galileuszów i Einsteinów.

## I

Kiedy książe Henryk, hulaka, bywalec karczem i zajazdów, przebił szpadą na równinie Shrewsbury dumnego księcia Percy, zwanego Hotspur, nie wiedział, że zabija feudalizm. Umierając Hotspur pragnie, aby razem z nim umarła historia, przekazuje zwycięzcy epistemologię, etykę i metafizykę klas ginących; myśl ludzka — mówi —

jest niewolnicą życia, życie — złudą czasu,  
czas zaś — wszelkiego bytu los to przesądzony—  
zaiste, musi stanąć.

Ale czas idzie naprzód. Przeminał feudalizm, skruszały zamki rycerskie, rozpadł się absolutyzm, spaliły się pałace, rozsypały się kości Hotspura i zgniły szczątki Henryka, światem zamiast herbu i szpady zaczął rządzić pieniądz i karabin. Dopiero cztery wieki później czas znowu przystanął na chwilę: nowa klasa społeczna schodziła ze szlaków historii. Feudał zginął na polu bitwy, kapitalista zmarł w klozecie, dumny Hotspur stał się rozpustnym Eustachym Barnackiem, Szekspir zamienił się w Aldousa Huxley'a. O, nędzo historii ludzkiej!

Aldous Huxley lubi gnijącą burżuazję jak smakosz szczura w miodzie. Od szczura do mistycyzmu tylko jeden krok. Zrobił go W. Somerset Maugham, zrobił

go Evelyn Waugh, zrobił go Aldous Huxley. Dwa-  
dzieścia lat temu pokazał burżuazję angielską po  
upojeniach pierwszej wojny światowej. Symbolem jej  
był redaktor Burlap, piszący rozprawę o św. Franci-  
szku i poszukujący miłości macierzyńskiej u kobiet.  
W *Ostrzu na ostrze* uczony lord przeszczepia try-  
tonom ogony, faszysta mobilizuje bojówki, kobiety  
prostyтуują się, posiadacze pędzą żywot gnuśny i roz-  
wiązły; jedynie redaktor Burlap erotomanie pokry-  
wa dziecinnym wdziękiem. Kiedy wymówiwszy se-  
kretarce posadę, przez co kobieta popełniła samo-  
bójstwo, redaktor Burlap wracał radosny do domu,  
wspominając ostatnią kąpiel z przyjaciółką w wan-  
nie, kiedy jak dwoje dzieci opryskiwali całą łazienkę,  
Huxley osądził krótko: „Takich jest Królestwo Nie-  
bieskie“.

Królestwo Niebieskie Eustachego Barnacka rów-  
nież zaczęło się na tym świecie, lecz skończyło — na  
tamtym. W *Ostrzu na ostrze* burżuazja była upo-  
jonym żołądkiem, Huxley drwiącym sędzią, w powie-  
ści *Czas musi stanąć* (*Time Must Have a Stop*,  
1944) żołądek wariuje ze strachu i rozpaczy, sędzia  
przemienia się w apostoła.

Eustachy Barnack był kapitalistą i estetą, kolek-  
cjonerem dzieł sztuki i pospolitym dziwkarzem, podłym  
tchórzem i wzniosłym moralistą, sybarytą i humani-  
stą, lubił kobiety, obrazy i jadło, nic ludzkiego nie  
było mu obce. I za to został potępiony. Jakże niedo-  
rzeczne jest przywiązanie człowieka do spraw tego  
świata! Pewnego razu Eustachy Barnack dyskuto-  
wał w gronie przyjaciół, trawiać obfity obiad.

„Za każdy poważny postęp w nauce czy organizacji trzeba płacić i w większości wypadków strona strat równa się mniej więcej stronie zysków, z tym wyjątkiem oczywiście, kiedy równowaga jest zachwiana, jak to było na przykład z powszechną oświatą albo z radiem, albo z tymi przeklętymi samolotami. W tym wypadku postęp jest krokiem wstecz i w dół. Wstecz i w dół“ — powtórzył, a wyjmując cygaro z ust, odrzucił głowę w tył i pozwolił sobie na wybuch długiego, chrapliwego śmiechu. Wtem nagle przerwał, a jego szeroka twarz wykrzywiła się grymasem bólu. Była to zgaga po białym winie. „Na szczęście — dodał z uśmiechem Eustachy — nie ma takiej, której by nie mógł naprawić dwuwęglan sodu“. I właśnie wtedy, gdy Eustachy Barnack zeszedł do toalety, aby zażyć sodki — właśnie wtedy klozet zamienił się w pole bitwy, czas znowu stanął: Eustachy Barnack dostał ataku, upadł na kaflową posadzkę i skonał w toalecie.

Znalazł się w wieczności jako rozchwiany pył z cygarem w zębach, wabiło go na peryferiach świadomości światło: ogromne, nieogarnione milczenie, surowe, czyste piękno, olśniewające, godne pożądania i nieodpartej tęsknoty, zbliżało się do niego, pragnęło go ogarnąć na wieki, lecz Eustachy bronił się przed nim, zbierając wokół siebie pamięć świata: szlafrok kochanki, grę w kasynie, wzruszenie w kościele, obstrukcję, o której pamiętał zabawny wierszyk:

Siedziała pod bambusem,  
bawiła się kaktusem,  
bezwzględnie zatwardzenie...

Kochając swoją świadomość Eustachy Barnack gardził nawet za światem głupotą i nedorzecznnością świata. Rozmawiał z rodziną na seansach spirytystycznych, czyniąc sardoniczne uwagi o człowieku i historii: „Wstecz i w dół, żołnierze Chrystusowi!” — wykrzykiwał o krucjatach i spółkowaniu, i nagle:

„Nagle odzyskał całą domenę swej intelektualnej jaźni. Przypomnił sobie swój zbiór dowcipów historycznych. Miliony strat i mowę gettysburską Lincoln, a potem nędznych, zastraszonych Murzynów, których widzi się w miasteczkach Georgii i Luizjany. Przypomnił sobie krucjatę o wolność, równość i braterstwo, sukcesy Napoleona i krucjatę przeciwko Napoleonowi, a dalej powstanie niemieckiego nacjonalizmu i krucjatę przeciwko niemieckiemu nacjonalizmowi, i wreszcie bezrobotnych, którzy jak pół żywe trupy stoją w deszczu na rogach ulic. „W dół i wstecz, żołnierze Antychrystusowi!” Śmiech jego przeszedł w crescendo. Jakaś podniosłość niezmierna wypełniała go całego; czuł bezgraniczną śmieszność tych poczynań ludzkich, czuł pełnię pogardy dla samych ludzi“.

W ten sposób, nazywając historię stekiem „głupoty i bandytyzmu, opętania i niszcycielstwa“, protestantyzm — „pachołkiem eksploatacji kapitalistycznej“, Eustachy Barnack nawet za grobem przeżywa swój typowy, drobnomieszczański bunt przeciw kapitalizmowi. Na tym świecie ulgę sprawiały mu wdzięki Mimi, białe wino i obrazy Degasa, na tym — pozostał mu tylko obłąkańczy śmiech. Eustachy śmiał się z buntów głodowych w Indiach, ze strajków w Egipcie, z wojny przeciw faszyzmowi, a cały

wszechświat Aldousa Huxley'a śmiał się wraz z nim. Śmiał się na skalę kosmiczną z kosmicznie doskonałej komedii samounicestwienia“.

Światło Absolutu cierpliwie wzywało Eustachego Barnacka, wybacząc mu zbrodnię, oszustwo, rozpusztę i głupotę. Lecz umarły kapitalista przywiązał się do ziemi hańby, podłości i morderstwa; czas stanął w miejscu, ale nie umiając zrezygnować ze świata Eustachy Barnack został potępiony.

## II

Czas płynie niepowstrzymanie naprzód. Każda minuta kształtuje historię ludzkości. Każda minuta niesie człowiekowi życie i śmierć, daje szczęście i cierpienie, więzienie i wolność. W przeciągu minuty monopole amerykańskie zarabiają 57 tysięcy dolarów, sześciu bezrobotnych Stany Zjednoczone wyrzucają na bruk. W przeciągu minuty Francja wydaje na wojnę kolonialną w Indochinach dwieście tysięcy franków; w przeciągu minuty umiera na świecie z głodu sześćdziesięciu ludzi. U progu pięciolatek socjalistycznych Walentin Katajew napisał słynną powieść o pracy i szczęściu. Powieść ta nazywała się: *Czasie, naprzód!*

W lutym 1949 roku minął w Związku Radzieckim 38 miesiąc pierwszej powojennej pięciolatki. Ale czas idzie naprzód niepowstrzymanie. Dla wielu przemysłów Związku Radzieckiego, dla przemysłu budowy maszyn, dla przemysłu chemicznego, dla przemysłu naftowego, dla przemysłu spożywczego — luty 1949

jest nie 38, ale 50, 51, a nawet 52 miesiącem pięcioletki. Przemysły te o wiele procent przekroczyły swój plan wytwórczy. Co minutę jedna rodzina robotnicza i jedna rodzina chłopska dostają w Związku Radzieckim dwu lub trzypokojowe mieszkanie, od trzech lat nieprzerwanie co sześć i pół godziny rusza nowa fabryka; co pięć dni górnicy polscy wydobywają milion ton węgla: czas idzie naprzód.

### III

Umierając Hotspur wstrzymał czas, Aldous Huxley czyni to samo w pełni zdrowia i sił. Myśl ludzka — mówi —

jest niewolnicą życia, życie — złudą czasu,  
czas zaś — wszelkiego bytu los to przesądzony —  
zaiste, musi stanąć.

Czas musi stanąć, aby Eustachy Barnack mógł się śmiać z zaświatów, Sebastian pisać wiersze i zdobywać kobiety uśmierciwszy żonę, pani Thwale dobierać oficerków, wszyscy zaś — porozumiewać się z zaświatem przez medium. Szlachetne słowa ranne-go Hotspura Huxley uczynił wyznaniem wiary ginącej klasy, przerażonej bezsensem świata, który sama stworzyła, w który wierzy i który kocha.

„Czas musi stanąć!“ — woła ideolog kapitalizmu. Ale czas idzie naprzód.

„Kapitalizm musi zginąć; ginąć może on setkom i tysiącom milionów ludzi zadać niewysłowione cierpienia, ale żadna siła nie zdoła powstrzymać jego upadku. Nadejdzie nowe społeczeństwo, które oprze



się na sojuszu robotników z chłopami. Dwadzieścia lat wcześniej, dwadzieścia lat później, ale nadzieje!“ — pisał Lenin przed dwudziestu kilku laty.  
Czasie, naprzód!

— to hold as 'twere the mirror up to Nature;  
to show Virtue her own feature, Scorn her own  
image, and the very age and body of the time,  
his form and pressure.

H a m l e t

I

Nasz wiek XX, wiek cywilizacji maszynowej, społeczeństw klasowych, wycisku kolonialnego — jest wiekiem gnicia kapitalizmu, wiekiem kryzysów i wojen imperialistycznych, wiekiem koncernów przemysłowych i komór gazowych, wiekiem bezrobocia i iperytu, bomby atomowej i ludobójstwa. Gdyby zliczyć wszystkie wojny, które toczyła burżuazja dla utwierdzenia swego panowania nad światem, gdyby ułożyć w porządku chronologicznym wszystkie wyprawy i ekspedycje zbrojne, które organizowała ona dla zdobycia nowych rynków zbytu — nie starczyłoby lat naszego wieku; gdyby wskrzesić miliony ludzi wymordowanych przez burżuazję, zadreńczonych na śmierć głodem i pracą — powstałyby nowe narody i ludzkość podwoiłaby swoją liczbę; gdyby zebrać wszystkie bogactwa ziemi, plody pracy człowieka, zaprzepaszczone i zmarnowane przez burżuazję — zaiste, starczyłoby ich, aby wyżywić wymordowanych i zagłodzonych; gdyby można było zmierzyć wysiłek ludzki zrabowany człowiekowi przez burżuazję i obró-

cić go ku pożytkowi całej ludzkości — zaiste, ziemia zmieniałaby oblicze; gdyby zliczyć, wymierzyć i ocenić kłamstwa i fałszy, którymi burżuazja upiększa swoje krwawe i okrutne panowanie — powstałaby księga barbarzyństwa i ciemnoty, wymowniejsza od uczonych traktatów o paleniu czarownic; gdyby sądzić burżuazję według jej moralności zysku, wyzysku, rozkoszy i użycia — wyrok byłby surowszy niż na z'odzieja i mordercę oświęcimskiego; gdyby zobrazować upodlenie, rozpacz i zaślepienie ofiary, ogłupianej przez burżuazyjną naukę i sztukę — powstałaby żalosna karykatura szlchetnego obrazu człowieka; gdyby zgłębić morze krwi, łez i potu, wytaczane przez burżuazję z ciała ludzkości jak sok z naciętego toporem drzewa — dna by nie znalezione; gdyby chcieć wyrazić doświadczenie ludów naszej epoki jednym zdaniem, które mog'oby pójść w pokolenia, to trzeba by powtórzyć przejmującą strofę pieśni rewolucyjnej:

Krew naszą d'ugo leją katy,  
Wciąż płyną ludu gorzkie łzy...

## II

Ale nasz wiek XX nie jest tylko wiekiem gnicia burżuazji. Nasz wiek XX jest wiekiem wyzwolenia klasy robotniczej całego świata, wiekiem samostanowienia i niepodległości narodów kolonialnych i kolorowych. Od utopijnych marzeń socjalistów do Manifestu Komunistycznego, od rewolucji lipcowej, Wiosny Ludów, epopei Komuny Paryskiej, poprzez roz-

paczliwe powstania ludów kolorowych, rewolucję 1905 roku — do stworzenia pierwszego socjalistycznego państwa świata; poprzez stowarzyszenia i kooperatywy aż do federacji światowej związków zawodowych; poprzez ofiarne wyrzeczenie i bohaterstwo jednostek do wspólnej obrony praw człowieka przez miliony ludzi, którzy złamali faszyzm — łączy się i organizuje klasa robotnicza, tworząc własną gospodarkę socjalistyczną, rozwijając ogólnoludzką kulturę, znosząc wyzysk klasowy, wojnę, imperializm, głosząc wolność ekonomiczną i polityczną w imię harmonijnego rozwoju człowieka i jego społeczeństwa. Gdyby zebrać w kodeksie wskazania przywódców klasy robotniczej — powstałaby księga najczystszej moralności, jaką zna człowiek; aby ogarnąć bezmiar trudu, cierpienia i wyrzeczeń w walce o wyzwolenie człowieka — serce byłoby za małe; gdyby opowiedzieć o poświęceniu i bohaterstwie człowieka budującego państwo socjalistyczne — powstałaby wielka epepeja o duszy wolnego człowieka; gdyby zmierzyć potęgę, wiarę i nadzieję wszystkich ludzi wolnych, trzeba by powtórzyć dumną strofę Międzynarodówki, prawdziwej pieśni naszego wieku:

Ruszymy z posad bryłę świata,  
Dziś niczym — jutro wszystkim my!

### III

Nasz wiek XX jest wiekiem walki między kapitalizmem a socjalizmem. Przeciw klasie robotniczej, organizatorce ludzkości — powstały: burżuazja i Wa-

tykan, uniwersytet i więzienie, pieniądz i karabin, sędzia i policjant, pałka, kajdany i stryczek.

Za życia naszych ojców i dziadów zginały się plecy niewolników, umierał z głodu kulis, tragarz i osadnik, gasło w fabryce dziecko, ginął na barykadach paryskich robotnik, szalały kryzysy, lokauty i bezrobocie, lecz moralność i prawo, religia i sztuka, nauka i wychowanie broniły świętej własności prywatnej kapitalisty, danej mu „z łaski Boga“, który „zabrania nawet pożądaną rzecz cudzej“ (Leon XIII, „Rerum Novarum“).

Za naszych ojców i naszego życia kapitalizm rozpełtał dwie wojny imperialistyczne, znowu srożył się kryzys i głód, umierał Murzyn, Malajczyk i Hindus, potężniał faszyzm i szykowano mordownię narodom w krematoriach, lecz kapitalistyczne: moralność i prawo, religia i sztuka, nauka i wychowanie rozniecały nienawiść do kraju socjalizmu. Ich nawoływanie do pochodu zbrojnego przeciw Związkowi Rad rozniosło popiół ludzki po polach całej Europy. „Z głębokim bólem patrzymy na lekkomyślność tych, którzy zdają się nie dostrzegać grożących z tej strony niebezpieczeństw i ogarnięci gnuśną bezczynnością spokojnie znoszą propagandę hasła gwałtownego i krwawego przewrotu społecznego“ (Pius XI, „Quadragesimo Anno“). Wytoczono morze łez i krwi, aby utopić w nim ideę wyzwolenia człowieka.

Lecz sprawy wolności — jak biegu rzeki — nie można skrzepować powrozem ani marzeń człowieka utopić w jego krwi. Z wojny prusko-francuskiej wyrosła Komuna Paryska; pierwsza wojna imperialistyczna pozwoliła narodom Rosji carskiej stworzyć

Związek Rad; druga imperialistyczna wojna światowa, podjęta dla zdławienia tego Związku — przyniosła wyzwolenie społeczne jednej czwartej całej ludzkości. Pół miliarda ludzi w ciągu naszego jeszcze życia będzie pracowało nad stworzeniem, wzmocnieniem i rozbudową ustroju socjalistycznego, realizując hasło braterstwa ludów i równości człowieka, idąc ku czasom,

Gdy związek nasz bratni  
Ogarnie ludzki ród!

#### IV

Wtedy nasz wiek XX przyniesie ludzkości pokój, cswobodzi ją od nędzy, głodu i rozpacz, od niewolnictwa przemysłowego i przypisania do gleby, od wyzysku człowieka - robotnika przez człowieka - pasczyta, opanuje i zrozumie naukowo dzieje i kierować będzie rozumnie historią społeczeństwa ludzkiego, wykorzystując mądrze przyrodę i poznając jej niezmiennie prawa. Najszlachetniejsze marzenia, najserdeczniejsze tęsknoty człowieka, za które ludzie pili cykutę, umierali na krzyżu, paleni byli na stosie, rozstrzeliwani pod murami więzień, gazowani w komorach i zasypywani żywcem w masowym grobach — ziszczają się w naszym wieku, wieku ogromnej, twórczej pracy człowieka i zwycięskiej jego walki o pokój i sprawiedliwość.

Wiek ludzkiej historii przechowuje w sobie obrazy człowieka epoki. W zwierciadle naszego wieku śladu nie zostanie po zbrodniczym obliczu kapitalizmu. Nasz wiek XX przechowa w sobie mądre i tchnące odwagą oblicze wolnego człowieka.

---

## NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

„Opowiadania z gazet“ pierwotnie ukazywały się w dzienniku „Rzeczpospolita“, w cyklu: „Nasz wiek XX“, od połowy stycznia do połowy maja 1949 r. Szkice te zostały gruntownie przerobione. „Alicję w krainie czarów“ w innej formie drukowało „Pokolenie“ (nr 1/7, 15.I.1947 r.). Felietony: „Igraszki uczonego dowcipu“, „O czytaniu gazet“ oraz opowiadania „Santiago de Compostela“ i „Rekord“ zostały napisane dla dopełnienia książki i nie były objęte cyklem „Nasz wiek XX“.

Poniżej wskazuję źródła, prócz dokładniej opisanych w tekście.

### Swierszczyk i łaska Boga

Conan Doyle: „A Scandal in Bohemia“ (w tomie: Sherlock Holmes, The Complete Short Stories, Murray, Londyn, 1943).

Słowa Locke'a cytuje R. H. Tawney: „Religion and the Rise of Capitalism“, Pelikan Books, 1948.

C. E. M. Joad: „Guide to the Philosophy of Morals and Politics“, Gollancz, Londyn, 1948.

W. Somerset Maugham: „Ostrze brzytwy“, Awir, Warszawa — Katowice, 1948.

### Polowanie na lisy

Sir William Stampe: „Hunting“, The Times Weekly Ed., 23.II.1949.

W. L. Burn: „English Conservatism II“, The Nineteenth Century and After, luty 1949, nr 864.

Sir George Schuster: „Some Reflections on Incentives“, tamże.

Rt. Hon. R. A. Butler: „What Conservatives Stand For“, Listener, nr 1.048, 24.II.1949.

W. B. Huie: „The Facts Which Must Prevent War“, The Reader's Digest, nr 322, luty 1949.

#### Eizdgin i Akyrema

Angelo Herndorn: „Georgia Trial“ (z antologii: „The Negro Caravan“, The Citadel Press, New York, 1941.

#### Bogaty, smutny młodzieniec

Paul Hanly Furey: „A History of Social Thought“, The Macmillan Company, New York, 1948.

Ernest Fischer: „4 gegen 161“, Weg und Ziel, nr 1, styczeń 1949.

Franz West: „Der Vatikan in der Weltpolitik“, Weg und Ziel, nr 4, kwiecień 1949.

#### O czytaniu gazet

Archbishop Francis J. Spellman: „Action This Day“, New Avon Library, New York, 1948.

#### Spór o naprawę lampy

Jean Paul Sartre: „L'Existentialisme est un humanisme?“, Les Editions Nagel, Paryż, 1946.

#### Świat jako lewa noga psa

Bertrand Russell: „History of Western Philosophy“, Allen and Unwin, Londyn, 1946.

Bertrand Russell: „Human Knowledge, Its Scope and Limits“, Allen and Unwin, Londyn, 1948.

Ernst von Aster: „Die Psychoanalyse“, Wegweiser Verlag, Berlin, 1930.

C. E. M. Jo ad: „Guide to Modern Thought“, Pan Books, Londyn, 1948.



Christopher Caudwell: „Illusion and Reality. A Study of the Sources of Poetry“. Lawrence and Wishart. Londyn, 1947.

### Wirtuoz i człowiek

Friedrich Ranke: „Tristan und Isold“, Bücher des Mittelalters, F. Bruckmann, Monachium, 1925.

Samuel Richardson: „Pamela“, Everyman's Library Londyn, 1946.

Goethe: „Faust“, przeł. Ludwik Jenike, Bibl. Powsz. Zuckerkandla, Złoczów, 1891. (Jenike: „W przedmowie do pierwszego wydania niniejszej książki wyraziłem przekonanie, że przyswojenie piśmiennictwu naszemu całej drugiej części „Fausta“ uważam za pracę niewdzięczną i zbyteczną. Przekonania tego bynajmniej nie zmieniłem“).

Aleksander Czakowski: „Es war in Leningrad“, SWA—Verlag, Berlin 1947 (z ros. tłum. I. Tinzman).

Graham Greene: „It's Battlefield“, Heinemann, Londyn, 1948.

Artur Koestler: „Arrival and Departure“, Cape, Londyn, 1943.

Ilja Erenburg: „Burza“ (przekład St. Strumph-Wojtkiewicza).

Claude Morgan: „Die Forderung des Lebens“ (Le poids du monde); Dietz — Verlag, Berlin, 1948.

Alexander Saxton: „The Great Midland“, Appleton — Century — Crofts Inc. New York, 1948.

### Gąsienice na kapuście

Jean Henri Fabre: „Dziwy instynktu owadów i pajaków“, Wiedza, Warszawa, 1948.

O sytuacji w biologii. Referat wygłoszony na sesji Wszelkowskiej Akademii Nauk Rolniczych imienia W. I. Lenina, 31 lipca — 7 sierpnia 1948, Państwowy Instytut Wydawnictw Rolniczych, Warszawa, 1949.

G. B. Shaw: „The Lysenko Muddle“, Labour Monthly, Londyn. (Cytuje Österreichisches Tagebuch, nr 2, luty 1949).

E p p u r s i m u o v e !

A v r o M a n h a t t a n : „The Catholic Church against the Twentieth Century“, Watts and Co. Londyn, 1947.

H e r b e r t A p t h e k e r : „Hustlers for War“, Masses and Mainstream, nr 5, maj 1949, New York.

B e r t r a n d R u s s e l l : „Einstein and the Theory of Relativity“, Listener, nr 1.051, 17.III.1949.

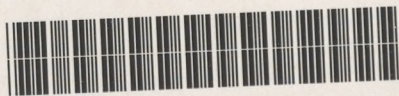


E. 76/1950

# S P I S R Z E C Z Y

IGRASZKI UCZONEGO DOWCIPU . . . . .	5
ALICJA W KRAINIE CZARÓW . . . . .	9
ŚWIERSZCZYK I ŁASKA BOGA . . . . .	18
POLOWANIE NA LISY . . . . .	30
EIZDGIN I AKYREMA . . . . .	39
BOGATY, SMUTNY MŁODZIENIEC . . . . .	53
O CZYTANIU GAZET . . . . .	63
KWOKA . . . . .	66
PRYWATNY CZŁOWIEK . . . . .	69
SANTIAGO DE COMPOSTELA . . . . .	74
HYMN NARODOWY . . . . .	80
REKORD . . . . .	83
DZIEŃ PLANTATORA . . . . .	88
SPÓR O NAPRAWĘ LAMPY . . . . .	94
ŚWIAT JAKO LEWA NOGA PSA . . . . .	99
WIRTUOZ I CZŁOWIEK . . . . .	111
GĄSIENICE NA KAPUŚCIE . . . . .	122
EP PUR SI MUOVE . . . . .	131
CZASIE, NAPRZÓD! . . . . .	137
NASZ WIEK XX . . . . .	144
NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	149

Biblioteka Główna UMK



300000909787